

Joe Haldeman  
**Prywatna wojna  
szeregowca Jacoba**  
Iskry

12



*Joe Haldeman*

**PRYWATNA WOJ-  
NA SZEREGOWCA  
JACOBA**

przełożyli: Jacek Manioki i Emma Popik

**Opracowanie graficzne Michał Piekarski**

**Tytuły oryginałów: Tricentennial, A Time to Live, The Private War of Private Jacob, Summer's Lease — z tomu Infinite Dreams**

**Redaktor  
Zofia Uhrynowska**

**Redaktor techniczny Anna Kwaśniewska**

**Korektor Agata Boldok**

**Wydanie I**

**ISBN 83-207-1017-0**

**Copyright © 1978 by Joe Haldeman**

**For the Polish edition copyright © by Państwowe  
Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa, 1987**

**Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1987 r.**

**Wydanie I. Nakład 49 750+ 250 egz.**

**Ark. wyd. 2,9. Ark. druk. 3.**

**Papier offset, kl. V, 70 g, 61 cm (rola).**

Olsztyńskie Zakłady Graficzne im. S. Pieniężnego. 10-417  
Olsztyn, ul. Towarowa 2.  
Zam. nr 1502/B. K-12/61.

### O autorze

Joe Haldeman urodził się w 1943 roku, studiował fizykę i astronomię, jako inżynier służył w Wietnamie. Debiutował w 1969 roku opowiadaniem „Out of Phase”, zamieszczonym w magazynie „Galaxy”, dziś jest już pisarzem popularnym, laureatem liczących się nagród. Oprócz fantastyki pisuje także powieści sensacyjne i o tematyce współczesnej.

Prozę Haldemana, na której odcisnęły swe piętno zarówno przeżycia wojenne, jak i solidne przygotowanie naukowe autora, zaliczyć można do nowej fali hard SF, a więc fantastyki tradycyjnej, „technicystycznej”, w nowym, doskonałym literacko ujęciu. Najgłośniejsza powieść Haldemana *The Forever War* opowiada o życiu codziennym żołnierzy w czasie kosmicznych wojen, jest — zdaniem krytyki — polemiką z barwnymi batalistycznymi fantazjami Roberta A. Heinleina. W wykreowanym przez autora świecie nie ma miejsca na lojalność i braterstwo broni, a żołnierze są całkowicie wyalienowani ze społeczeństwa. Powieść otrzymała nagrody Ditmar, Nebula i Hugo.

Joe Haldeman jest również autorem powieści *Mindbridge*, *Worlds*, i *Worlds Apart*. Cztery prezentowane opowiadania pochodzą z opublikowanego w 1978 roku tomu *Infinite*

**Dreams, nowela „Trzechsetlecie” została uhonorowana nagrodą Hugo.**

## **Trzechsetlecie**

Grudzień 1975

Uczeni stwierdzili, że Słońce może być składnikiem systemu gwiazdy podwójnej. Skoro jego towarzysz pozostawał nie wykryty, to oczywiście musiał być mały, ciemny i oddalony o tysiące jednostek astronomicznych.

W końcu go znajdują; „go” okaże się „ich”; przydadzą się.

Styczeń 2075

Gabinet miał bogaty wystrój nawet jak na ekstrawaganckie standardy XXI-wiecznego Waszyngtonu. Senator Connors uwielbiał antyki. Jedną ścianę wypełniały książki w skórzanych oprawach, duży, mosiężny teleskop symbolizował rolę senatora jako Łącznika z Bractwem Naukowym; zawile utkany indiański kilim z rodzinnego stanu pokrywał prawie całą drewnianą podłogę. Zegar po dziadku. Obrazy, stare mapy.

Terminal komputera był dyskretnie schowany do górnej szuflady ciężkiego, tekowego biurka, na którym znajdowała się susz-

ka, pedantycznie ułożony komplet wiecznych piór i czarny stuletni telefon typu Bell, przynoszący tylko głos. Telefon zadzwonił.

Sekretarka powiedziała, że czeka doktor Leventhal. - Mów coś do słuchawki jeszcze przez pół minuty - odrzekł senator - potem rozłącz się i przyślij go tutaj.

Położył słuchawkę na widełki i podszedł do ściennego lustra. Podciągnął krawat, wygładził kamizelkę i wyrównał paznokciem szminkę na dolnej wardze. Przejechał dłonią po długich, rzędnych siwych włosach i stanął z powrotem przy biurku z jedną ręką na telefonie.

Masywne drzwi otworzyły się z cichym szmerem. Niski, szczupły mężczyzna złożył lekki ukłon.

- Ekscelencjo.

Senator przeszedł przez pokój wyciągając do niego ręce. - Co się wygłupiasz, Charlie? Masz pięć. - Mężczyzna chwycił jego dłonie i natychmiast je puścił. - Od kiedy to jestem dla ciebie ekscelencją, ty ciężki idioto?

- Od zeszłego tygodnia - powiedział Leventhal. - Członkowie Bractwa obrzucają cię gorszymi wyzwiskami niż ekscelencja.

Senator kiwnął dwa razy głową. - Szczera prawda. A ja się solidaryzuję. Bądź co bądź, wola ludu.

- Oczywiście. Wola ludu - Leventhal wypowiedział to jako jedno słowo.

Connors podszedł do biblioteki i otworzył rzeźbioną szafkę.

- Napijesz się?

- Tak, Bo. - Charlie westchnął i usadowił się na głębokiej kanapie. Nalej mi sherry lub coś w tym rodzaju.

Senator przyniósł kieliszki i usiadł obok Charliego.

- Trzeba było mnie posłuchać. Trzeba było dać swój projekt do napisania Bractwu Rządowemu.

- Mamy dobrych autorów.

- Przepraszam, ale wątpię. Mniej niż dwa procent wyborców zdecydowało się głosować - i w większości za stronnikiem rządu. A weź na przykład Bractwo Inżynierskie...

- Ty weź sobie inżynierów i...

- Oni wykorzystali Bractwo Rządowe - Connors wzruszył ramionami. - I mają swój budżet.

- Mosty, elektrownie i wahadłowce sprzedaje się łatwo. Trudno sprzedać czystą naukę.

- Tym bardziej powinniście...

- Tak, na pewno. Zażądać dwa razy tyle i dać połowę chłopakom z Rządowego. Może w przyszłym roku. Nie o tym przyszedłem do ciebie pogadać.

- O tej radiowej sprawie?

- Właśnie. Czytałeś raport?

Connors przyglądał się trzymanemu w ręce kieliszkowi. - Charlie, wiesz, że nie mam czasu na...

- Ktoś go jednak przeczytał.

- No, dobrze. Fachman od astronomii z mojego personelu - i dał mi cynk. Nadzwyczaj interesujące.

- Jedenaście lat świetlnych od Ziemi mamy inną cywilizację kosmiczną, a ty mówisz „nadzwyczaj interesujące”?

- Jasne. Prawdziwy przełom. - Nastąpiła nieprzyjemna cisza. - No to co będziecie robić w tej sprawie?

- Dwie rzeczy. Po pierwsze, staramy się zorientować, co oni mówią. To jest trudne. Po drugie, chcemy im wysłać odpowiedź. To jest łatwe i tu wkraczasz ty.

Senator przechylił głowę na bok i spojrzał uważnie na swego rozmówcę.

- Pozwól mi wyjaśnić. W kierunku tej gwiazdy, 61 Cygni, wysyłaliśmy, swego czasu sygnały. Faktycznie jest to gwiazda podwójna, z niewidocznym towarzyszem.

- Jak my.

- Mniej więcej. W każdym razie nigdy nam nie odpowiedzieli. Wyraźnie nie prowadzą nasłuchu; żadnych wiadomości też nie wysyłają.

- Przecież odebraliśmy...

- Sygnały jakie odbieramy, przypominają to, co by się odbierało jedenaście lat świetlnych od Ziemi. Chaotyczną mieszaninę różnych audycji, nadawanych jedenaście lat wcześniej. Są bardzo niewyraźne, ale nie mają oczywiście pochodzenia naturalnego.

- Wobec tego audycje już wysyłamy. Takie same jakie oni wysyłają nam.

- Zgoda, ale...

- I co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

- Bo, my nie zamierzamy szeptać do nich. Chcemy krzyknąć! Zwrócić ich uwagę. - Leventhal pociągnął łyk wina i odchylił się do tyłu. - Żeby to zrobić, będziemy potrzebowali cholernie dużo energii.

- Ma się rozumieć, Charlie. Energia to pieniądz. Ile?

- Całość. Chcę wyłączyć Dolinę Śmierci na dwanaście godzin.

Senator otworzył usta ze zdziwienia. - Charlie, nie za ciężko pracujesz? Jeszcze jedno Zaciemnienie? Umyślnie?

- Nie będzie żadnego zaciemnienia. Dolina Śmierci ma czternastogodzinny zapas energii na wypadek awarii.

- Przy połowie zapotrzebowania. - Senator dopił sherry i poszedł w stronę barku potrząsając głową. - Najpierw oznajmiasz, że potrzebujesz energii, a potem mówisz, że chcesz ją wyłączyć. - Wrócił na swoje miejsce trzymając w ręku butelkę w płóciennym pokrowcu. - To nie ma sensu, chłopcze.

- Właściwie to nie wyłączyć. Odwrócić ją.

- To ma być zagadka?



- Nie. Uważaj. Wiesz, że energia faktycznie nie pochodzi z sieci w Dolinie Śmierci; tam jest tylko przekaźnik i akumulator. Energia płynie ze stacji orbitalnej...

- Ja to wszystko wiem, Chanie. Zrobiłem maturę w klasie naukowej.

- Wiadomo. A więc na orbicie mamy wielki laser mikrofalowy, który puszcza w dół silnie skupioną wiązkę energii. Tyle, ile trzeba, by mogła funkcjonować Ameryka Północna. W sam raz...

- O to mi właśnie chodzi. Nie możecie tak po prostu...

- Więc my go przekręcimy i wypuścimy tę wiązkę w kierunku urządzeń energetycznych na Księżycu. Energię przetransmitujemy do wielkiego radionadajnika znajdującego się po drugiej stronie. Zamienimy ją w fale radiowe i wymierzymy w 61 Cygni. Hukniemy do nich tak, że im się flaki usmażą.

- Czy tak się nawiązuje stosunki dobrosąsiedzkie?

- W istocie nie będzie to aż t a k silne, ale o wiele silniejsze od jakiegokolwiek naturalnego źródła 21-centymetrowego.

- Czy ja wiem, chłopcze? - senator przetarł oczy i skrzywił się. Potrafiłbym może zrobić to po cichu, mówiąc najwyżej paru ludziom, co jest grane. Ale to by się udawało tylko przez kilka minut... tak czy owak, na co wam trzeba aż dwunastu godzin?

- Otóż to urządzenie nie nakieruje się samo na Księżyc, tak jak to robi w przypadku Doliny Śmierci. Liczymy, że aby je obrócić i wycelować, potrzeba godziny. Poza tym nie chcemy jedynie zalać ich strumieniem fal radiowych. Mamy pięciogodzinny program, który najpierw przygotowuje wspólny język, potem opowie im o nas, a na koniec zada im kilka pytań. Chcemy go nadać dwukrotnie.

Connors napełnił ponownie oba kieliszki. - Charlie, ile lat miałeś w 47?

- Urodziłem się w 45.

- Nie pamiętasz tamtego zaciemnienia. Dziesięć tysięcy ludzi zginęło... a ty chcesz, żebym zaproponował...

- Daj spokój, Bo. To nie jest to samo. Wiemy obaj, że teraz działają akumulatory, a poza tym ci, którzy zginęli... większość z nich miała uszkodzone zabezpieczenia w swoich samochodach. Jeśli ich ostrzeżemy, że zasilanie się zmniejszy, to je sprawdzą, albo do cholery, niech siedzą w domu!

- A stacje telewizyjne? Musiałyby nadawać na przemian. Czy nakazesz Ludowi, co może oglądać?

- Gwiżdżę na stacje telewizyjne. Dostaną najwspanialszą opowieść od czasu Ukrzyżowania.

- Być może. - Connors wziął papierosa i pchnął pudełko w kierunku Charliego. - Pewnie nie pamiętasz, co spotkało kalifornijskich senatorów w 47, prawda?

- Sądzę, że nic dobrego.

- Oczywiście, że nie. Zostali usunięci; mieli szczęście, że ich nie zlinczowano. Chociaż faktyczna awaria wystąpiła daleko na orbicie. Tak, jak mówisz - ludność płaci Kalifornii podatek energetyczny. Wszyscy myślą, że prąd pochodzi z Kalifornii. Jak się coś pochrzani, to opieprzają Kalifornię. Ja jestem liberalnym senatorem z Kalifornii, Charlie; proś mnie o Księżyc, może zdołam ci pomóc. Nie każ mi kombinować z Doliną Śmierci.

- Dobra, dobra, Bo. Nie prosiłem cię wcale o jakieś machinacje dla siebie. Załatw tylko głosowanie. Zrobimy wszystko, co można, żeby zapoznać...

- Nic z tego nie będzie. Ledwo udało wam się uchwalić sondę na Scyllę - a nikogo to nie obchodziło, szczególnie gdy stało za tym L-5.

- Po prostu załatw głosowanie.

- Zobaczymy. Mam też swój udział, wiesz o tym. I Trzechsetlecie się zbliża, cholera, wszyscy się domagają, żeby przegłosować ich projekty.

- Proszę cię, Bo. To jest ważniejsza sprawa. Najważniejsza ze wszystkich. Załatw głosowanie.

- Może jako załącznik; niczego nie obiecuję.

Marzec 1992

Fakty i Fotki - 12 marca 1992 roku:

## STARA SONDA KOSMICZNA PRZEŚWIETLONA PRZEZ NOWE GWIAZDY

1. W roku 1973 Pionier 10 przesłał na Ziemię pierwsze zdjęcie Jowisza (patrz zdj. górne lewe i prawe).

2. Wyleciał poza Układ Słoneczny w 1987. Pierwszy twór ręki ludzkiej, jaki opuścił Układ Słoneczny.

3. NSA podaje, że wczoraj przed południem Pionier 10 zaczął odbierać silne promieniowanie. Było go coraz więcej i koło godziny trzeciej po południu osiągnęło maksimum. Potem się cofnęło. Promieniowanie musi pochodzić spoza Układu Słonecznego.

4. Naukowcy z NSA i Hawajów są zdania, że Pionier 10 przeszedł przez płaszczyznę promieniowania synchrotronowego, pochodzącego od dwóch gwiazd, o których przedtem nie mieliśmy zielonego pojęcia.

a. Gwiazdy są małymi „czarnymi karłami”.

b. Okrążają się nawzajem raz na 40 sekund, a na jedno okrążenie Słońca potrzebują 350 tysięcy lat.

c. Jedna z nich zbudowana jest z a n t y m a t e r i i. Jest to coś takiego, co wybuchu przy zetknięciu z prawdziwą materią. To, co zaobserwowali uczeni hawajscy, było zamazanym kręgiem niewidocznego dla oczu (podczerwonego) światła, które zapala się

i gaśnie co 20 sekund. Światło to wychodzi z miejsca, gdzie stykają się atmosfery obu gwiazd (patrz zdj. dolne lewe).

d. Gwiazdy otoczone są silnym polem magnetycznym. Źródłem promieniowania jest masa wirująca wokół obu gwiazd, usiłująca przedostać się przez to pole.

e. Gwiazdy znajdują się około pięciu tysięcy razy dalej od Słońca niż my. Krążą pod kątem wobec płaszczyzny Układu Słonecznego (patrz zdj. dolne prawe).

5. NSA uważa, że ze strony gwiazd nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Są zbyt daleko, a poza tym żadne z ciał Układu Słonecznego nigdy nie przechodzi przez strumień radiacji.

6. Kobieta, która odkryła gwiazdy, chce nadać im nazwy „Scylla” i „Charybda”.

7. Uczni sami nie wiedzą, skąd się one, u diabła, wzięły. Cała reszta Układu Słonecznego sens ma.

Luty 2075

Faza dokowania rozpoczęła się wtedy, pomyślał Charlie, kiedy można było z łatwością odróżnić uczonych od bagażu. Uczni to ci, którzy się denerwowali.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że dokowanie przebiega bardzo spokojnie. Wcale nie tak, jak w czasie przyśpieszania wywołującego bóle kości i napinanie skóry na całym ciele, kiedy wahadłowiec startował. Po prostu błyszczący, przezroczysty walec L-5 powoli robił się coraz większy, potem wykręcił i skierował się prosto na nich.

Problem polegał na tym, że kolonia kosmiczna, dostatecznie obszerna, by pomieścić cztery tysiące ludzi, ma większą bezwładność od samego Pana Boga. Gdyby wahadłowiec uderzył w otwór cumowniczy zbyt silnie, wówczas złoży się jak harmonijka. Statek

kosmiczny buduje się tak, żeby wytrzymywał naprężenie z całkiem innej strony.

Charlie nie wykupił pierwszej klasy; mimo to wpuszczono go do kopuły obserwacyjnej na górze - zawodowa uprzejmość. Znajdowało się tam tylko dwoje innych ludzi, którzy stali na velcronowym chodniku przypasani do jednej barierki, trzymając się kurczowo drugiej.

Byli to młody mężczyzna i młoda kobieta, prawdopodobnie nowi koloniści. Mężczyzna mówił coś gorączkowo, kobieta patrzyła przed siebie, nie słuchając go. Miała całkiem zbiegłe kostki u dłoni i mocno zaciskała zęby. Charlie miał ochotę powiedzieć coś miłego, ale trudno jest mówić, kiedy się wstrzymuje oddech.

Ostatnie metry są zawsze najgorsze. Niczego nie widać zza krzywizny kadłuba, a dysze sterownicze wprowadzają statek w serie drgań i wstrząsów; w lewo, w prawo, w przód, w tył. Gdyby wahadłowiec zaczął się składać; czy kopuła roztrzaskałaby się na kawałki? A może by po prostu pękła.

Wszystkim oczywiście kierował komputer. Pilot siedział sobie na górze kąpiąc się we własnym pocie.

Nagle rozległ się cichy jęk, prawie infrasoniczny dreszcz, w chwili gdy gładki kadłub promu natarł na klocki cierne. Chanie czekał na donośne „bang!”, co by znaczyło, że dokują trochę za szybko: bloki kruchego stopu leżące pod klockami ciernymi rozkruszając się absorbują energię ruchu statku; ostatnia deska ratunku.

Gdyby to ich nie zatrzymało, uderzą w dwumetrowej grubości ścianę litej stali, która tego dokona. Raz już tak było - ale nie teraz.

- Proszę pozostać na swoich miejscach, aż ciśnienie się wyrówna oznajmił nagrany głos. - Miło nam było gościć państwa na pokładzie. Charlie zwłóknął się po słupie z powrotem na pokład pa-

sazerski i poszedł, oddzierając stopy od podłogi, na swoje miejsce, gdzie posłusznie czekał na lekki trzask w uszach. Wówczas otworzyły się drzwi boczne i razem z innymi pasażerami przeszedł przez tunel prowadzący do windy. Stanęli na suficie. Ktoś, natrudziwszy się solidnie, wydrapał na metalowej ścianie napis:

Tkwią tu wiele godzin, w sytuacji przymusowej: Za tę windę milion dolców trzeba było dać. Nie ma żadnej siły odśrodkowej: L-S woli ssać.

Stan nieważkości przeciągnął się o trzydzieści sekund zjazdu ślizgiem do wnętrza kolonii. Na pomoście pasażerskim czekało kilkadziesiąt osób.

Charlie wyszedł z windy; ogarnęła go woń kwiatów pomarańczy i świeżo skoszonej trawy. Był w domu.

- Charlie! Halo, tutaj! - wołał młody mężczyzna stojący obok dwuosobowego roweru. Charlie uścisnął mu dłonie, a potem wskoczył na tylne siodełko.

- Pić.

- Załatwiłeś...?

- Pić. Potem porozmawiamy. - Pojechali gładką, asfaltową drogą w kierunku miasteczka.

Bar, który składał się z kilku stolików i krzeseł pod daszkiem, stał na brzegu jeziora w centrum miasteczka. Kelnera nie było - szło się do stolika służbowego i wybijało swój numer kredytowy, a potem wybierało się wino lub sok owocowy i ewentualnie czysty, destylowany alkohol. Rozmawiali przez chwilę o napięciu nerwowym towarzyszącym lotom wahadłowcami, po czym padło pytanie:

- Co załatwiłeś z Connorem?

- Niewiele, słowa. Dokładny raport zdam wieczorem na zebraniu. Wygląda jednak na to, że nawet nie będzie głosowania.

- A nie mówiliśmy, że tak będzie? Powinniśmy byli zgodzić się na plan Francois Petaina.

- Za duże ryzyko - odparł Charlie. Petain zaproponował, aby poinformować Dolinę Śmierci, że musieli zgasić laser w celu przeprowadzenia remontu, i w ogóle nie zawiadamiać ziemiaków o odebranych sygnałach; po prostu odpowiedzieć na nie. - Gdyby odkryli prawdę, to by nas załatwili.

Mężczyzna potrząsnął głową. - Nigdy nie zrozumie tych ziemiaków.

- Nie twoje zadanie. - Charlie był psychologiem, urodzonym i wykształconym na Ziemi. - Nie zrozumie ich nikt, kto się urodził tutaj.

- Może i tak. - Rozmówca Charliego podniósł się z krzesła. - Dziękuję za drinka; muszę wracać do pracy. Wiesz, że masz zadzwonić przed zebraniem do doktor Bemis?

- Tak. Była wiadomość na Przylądku.

- Ona ma dla ciebie niespodziankę.

- Czy nie jest tak za każdym razem? Wy tutaj nic nie robicie, dopóki nie wyjadę, figlarze.

Abigail Bemis powiedziała przez telefon Charliemu tylko tyle, że ma przyjść do niej na obiad; chciałyby go przygotować do zebrania.

- To było bardzo dobre, Abi. Na Ziemi nie można sobie pozwolić na prawdziwe jedzenie.

Roześmiała się, wstawiła naczynia do automatu i zaparzyła dwie filiżanki kawy. Siadając znów się śmiała: krępa siwa kobieta o bystrych oczach wśród morza zmarszczek.

- Jesteś dziś w znakomitym humorze.

- Tak. To nastrój oczekiwania.

- Johnny powiedział, że masz jakąś niespodziankę?
  - Biedny chłopak, nie zna nawet połowy. A więc z senatorem ci nie poszło?
  - Nie. Nawet gorzej, niż się spodziewałem. Co to za tajemnica?
  - Connors to porządny facet. Dużo dla nas zrobił.
  - Daj spokój, Abi. O co chodzi?
  - On ma rację. Wyłącz ziemiakom telewizję na pół godziny, a będzie następna rewolucja.
  - Abi...
  - My wyślemy wiadomość.
  - No pewnie, liczyłem na to. Wykorzystując urządzenia na Tamtej Stronie, z taką mocą, jaką dysponujemy. Jeśli się nam poszczęści...
  - Nic z tego. Za mało energii.
- Charlie wsypał do kawy pół łyżeczki cukru. - Zamierzasz... sprzeciwić się Connorsowi?
- Gwiżdżę na niego. Wcale nie użyjemy fal radiowych.
  - Światło widzialne? Podczerwień?
  - Zawieziemy ją sami. W Dedalu.
- Chanie właśnie podnosił filiżankę do ust. Wylał prawie wszystko.
- Proszę, masz tu serwetkę.

Czerwiec 2040

Z Krótkiej Historii Dawnego Porządku (Wydawnictwo Prasowe „Obywatel”, 2040):

„... a jeśli uważacie, że to było marnotrawstwo, to przypomnijcie sobie Projekt Dedal.



Był pierwszym wielkim przedsięwzięciem kosmicznym po L-5. Obecnie L-5 okazał się rzeczą dobrą, ponieważ jest praktyczny. Lecz Dedal (nazwany tak od imienia greckiego boga, który umiał latać) - to klasyczny przykład wyrzucania pieniędzy w błoto.

Ci uczeni z roku 2016 namówili burżujów, żeby im zafundowali wycieczkę na inną gwiazdę. Podróż miała trwać przeszło sto lat, lecz oni zamierzali całą drogę płodzić dzieci i kształcić je na uczonych (czy życzyłyby sobie tego, czy nie!).

Na paliwo chcieli zużyć wszystkie stare bomby wodorowe, zupełnie tak, jakby paliwo nam, tutaj na Ziemi, nie miało być nigdy potrzebne. Co by się stało, gdyby któregoś dnia w L-5 zdecydowano, że nas nie lubią i wyłączyliby laser?

Dedal miał być statkiem kosmicznym blisko kilometrowej długości! W przeważającej części budowano go w Kosmosie z materii księżycowej, jednak wiele elementów - tych najdroższych, rzecz jasna - trzeba było dowozić z Ziemi.

O mało go nie skończyli, ale wtedy przyszedł Kryzys i Rewolucja Ludowa. Nie ma mowy, by Lud pozwolił im nazymanie tych wodorówek, cholera, tuż nad naszymi głowami.

Pozostawiliśmy więc wodorówki w Helsinkach, a maniacy kosmiczni wrócili do swoich właściwych obowiązków.

Co roku składają petycję, żeby im te bomby dać, ale Wola Ludu co roku odmawia.

Ten statek kosmiczny ciągle jest tam w górze, podniebny śmieć za biliony dolarów. Jako świadectwo burżujskiej głupoty, jest gorszy niż piramidy!!!”

Luty 2075

- A więc sonda na Scyllę to tylko podstęp do zdobycia paliwa...

- Ależ nie, naprawdę nie. - Podsunęła mu folder w niebieskiej okładce. - Cały czas lecimy na Scyllę. Zaczepnąć kilka megaton zdegenerowanej antimaterii i podobną ilość zdegenerowanej materii z Charybdy. Charlie, nie planujemy statku wielopokoleniowego. Zaniesie nas tam paliwo wodorowe, które później będzie zasilalo butle magnetyczne utrzymujące właściwe paliwo.

- Całkowita anihilacja materii - powiedział Chanie.

- Otóż to. Em-ce-kwadrat, do dziewiątego miejsca po przecinku. Nikt nie myśli o wiekach lotu do 61 Cygni. Dziewięć lat, tam i z powrotem.

- Ziemiakom to się nie spodoba. Ta zła atmosfera wokół staro Dedala...

- Niech ich szlag trafi. Zrobimy wszystko to, o czym mówiliśmy, prosząc ich o drogocenne bomby termojądrowe: polecimy na Scyllę, weźmiemy trochę antimaterii, i przywieziemy ją tu. Tylko że wybierzemy dłuższą drogę powrotną.

- Nie można im po prostu tego wszystkiego powiedzieć? I tak nikogo to nie...

Potrząsnęła głową i roześmiała się, tym razem z pewną goryczą.

- Nie czytałeś dzisiejszego wstępniaka w Gazecie Ludowej, prawda?

- Byłem zajęty.

- Ja też, mój chłopcze. Za dużo pracy na takie gówno. Ktoś z mojego zespołu mi go pokazał.

- Piszą o Dedalu?

- Nie... chodzi o 61 Cygni. Jak pomyleni naukowcy chcą dać znać tym stworom, że istnieje życie na Ziemi.

- Przylecą nas pożreć.
- Coś w tym stylu.

Ponad trzy tysiące ludzi siedziało na zboczu wzgórza, w „naturalnym” amfiteatrze utworzonym z księżycowego pyłu i ziemskiej trawy. Panował niesamowity zgiełk, wszyscy mówili jednocześnie: doktor Bemis poinformowała przed chwilą zebranych o ekspedycji na 61 Cygni.

Powtórzyła z dziesięć razy „Cisza, proszę!”, zanim mogła kontynuować. - Rozumiecie więc, dlaczego nie transmitujemy po prostu tego zebrania. Odbierałaby je Ziemia. Z tego też powodu na L-5 nie ma już w tej chwili ani jednego reportera ziemiaków. Stara zmiana wróciła na Ziemię, a wahadłowiec z ich następcami poszedł do remontu na Przylądku. Oba pozostałe wahadłowce są tutaj.

Tak więc proszę was wszystkich - i wszystkich naszych braci, którzy musieli pozostać przy pracy - by dochowali największej tajemnicy od czasu, gdy Królowa Izabela zastawiła swoje klejnoty. Dopóki nie polecimy.

Teraz doktor Leventhal, który kieruje u nas sekcją nauk społecznych, chciałby pomówić z wami na temat doboru załogi.

Chanie nienawidził przemawiania publicznego. W tym otoczeniu poczuł się jak chrześcijanin rzucony lwom na pożarcie. Stał na podium i wygładzał wilgotne notatki.

- Hm, podstawowy problem...

Tysiąc ludzi poprosiło go, by mówił głośniej. Wyregulował mikrofon.

- Podstawowy problem polega na tym, że mamy miejsce tylko dla około tysiąca ludzi. Prawdopodobnie jednak więcej osób niż co czwarta chciałoby polecieć.

Głośny pomruk potwierdzenia. - Nie chcemy narzucać składu załogi... niemniej jednak ustaliłem pewne zasady, a doktor Bemis zgadza się z nimi. Nikt nie powinien, oczywiście, wybierać się w podróż, jeżeli wymaga szczególnej opieki lekarskiej. Dlatego też niewielu ludzi w podeszłym wieku będzie wziętych pod uwagę.

- Sześćdziesiąt cztery to nie jest podeszły wiek, Charlie. Lecę - szepnęła Abigail. Wcześniej niczego o tym nie mówiła.

Charlie mówił dalej, spoglądając na nią. - Po drugie, musimy pozostawić tych, którzy są absolutnie niezbędni do obsługi L-5. Razem z siłownią. - Uśmiechnęła się do niego.

- Nie chcemy rozdzielać małżeństw na hm, dziewięć lat z okładem... ale nie zabierzemy i dzieci. - Odczekał, aż wzburzenie opadnie. - W tej misji dzieci stanowią zbędny bagaż. Będziecie musieli znaleźć dla nich opiekunów. Może polecą w następnej wyprawie.

Bowiem nie możemy sobie pozwolić na zabranie bagażu. Nie wiemy, co nas czeka na Cygni: tysiąc osób może wydawać się liczbą dużą, ale nią nie jest. Zgodzicie się ze mną, jeśli weźmiecie pod uwagę, że potrzebny jest nam przekrój całej ludzkiej wiedzy, wszystkich ludzkich talentów i uzdolnień. Może się okazać, że ktoś, kto umie śpiewać madrygały, będzie ważniejszy od fizyka plazmy. Niczego z góry nie wiadomo.

Cztery tysiące ludzi rzeczywiście dochowało tajemnicy, nie tyle dzięki sile charakterów, co na skutek chorobliwej fobii wobec Ziemi i jej mieszkańców. A Trzechsetlecie senatora Connorsa istotnie przyszło im z pomocą.

Chociaż ludzkość stanowiła „Jeden Świat”, rządony przez „Wolę Ludu”, pewne regiony miały większe wpływy niż inne, a nacjonalizmy bynajmniej nie wygasły. To był pierwszy czynnik.

Drugim czynnikiem był stosunek ziemniaków do bomb termojądrowych składowanych w Helsinkach. Same antyki, które miały przeważnie po sto lub więcej lat. Specjaliści twierdzili, że były całkowicie bezpieczne, ale wiadomo jak to z tym bywa.

Formalnie rzecz biorąc, bomby były nadal własnością państw, które się ich pozbyły; dziewięć dziesiątych pochodziło z Ameryki Północnej i Rosji, a pozostałe rozkładały się pomiędzy czterdzieści dwa inne państwa. Co parę lat wszyscy się spotykali i zastanawiali, co począć z tym przekleństwem. Każdy pragnął się od nich uwolnić w jakiś użyteczny sposób, ale nikt się nie kwapił z zaangażowaniem kapitału.

Propozycja Charliego Leventhala była prosta: L-5 dostarczy forszę, materiały i ludzi. Na nagiej wyspie na Morzu Norweskim zdemontują stare bomby kolejno, jedna po drugiej, i zrobią z nich jednolite kapsuły paliwa dla Dedala.

Terminarz wyprawy sondy kosmicznej na Scyllę/Charybdę zostanie ustalony w taki sposób, by uhonorować państwa wnoszące największy wkład w loty kosmiczne. Przemianowana na John F. Kennedy opuści orbitę Ziemi w Trzechsetlecie Ameryki. Połowę drogi do podwójnej gwiazdy przeleci z przyspieszeniem 1 g, potem obróci się i będzie hamować w takim samym tempie. Do zaczerpnięcia scyllijskiej antymaterii użyje się czerpaka magnetycznego. W dniu święta 1 Maja 2077 roku zostanie ponownie przemianowana, otrzymując w drodze powrotnej nazwę Leonid 1. Breżniew. Przez wzgląd na bezpieczeństwo antymaterię dostarczy się na księżycową stację badawczą w pobliżu niewidocznej strony. Uczni z L-5 twierdzili, że spożytkowanie energii z całkowitej anihilacji materii stworzy raj na Ziemi.

Większość ludzi miała co do tego wątpliwości, ale czekała na fajerwerki.

Styczeń 2076

- Szlag by trafił! - wściekał się Charlie. - Ja... ja się po prostu na to nie zgadzam. Nie zgadzam.

- Jesteś jedynym...

- To nieprawda, Abi, dobrze o tym wiesz. - Charlie krążył od ściany do ściany jej kabiny służbowej. - Dziesiątki ludzi potrafi kierować L-5. Lepiej niż ja.

- Nie lepiej, Charlie.

Staął przed jej biurkiem i pochylił się nad nim. - Abi, nie przesadzaj. Jest tylko jedna, logicznie rzecz biorąc, osoba, która powinna zostać na miejscu i kierować wszystkim. Ona nie tylko wykazała się w tej roli, ale jest również za stara na...

- Tych głupot nie muszę wysłuchiwać.

- Otóż, Abi...

- Nie, powiem ci coś. Byłam małym dzieckiem, kiedy rozpoczynaliśmy budowę Dedala; pracowałam nad nim jako dziewczyna i młoda kobieta. Mogłabym zabrać cię tam na promie i pokazać te wszystkie nity, które własnoręcznie powtykałam. Pół wieku temu.

- O to mi...

- Charlie, ja zarobiłam na bilet. - Głos jej zmiękł: - Wiek się liczy, zgoda. To jest tylko pierwsza z wielu wypraw - a kiedy statek wróci, będę już za stara. Ty osiągniesz kwiat wieku... mając za sobą doświadczenia ponad dwudziestoletniej pracy na stanowisku Koordynatora. Nie wątpię, że mianują cię kapitanem następnej...

- Nie chcę być kapitanem. Nie chcę być Koordynatorem. Ja po prostu chcę lecieć!

- Ty i trzy tysiące innych ludzi.

- A czy wśród tysiąca pozostałych, którzy nie chcą albo nie mogą lecieć, nie ma ani jednego człowieka, który nadaje się na Koordynatora? Mógłbym ci wymienić...

- Nie o to chodzi. Na L-5 nikt się nie może z tobą równać, jeśli chodzi o wpływy i stosunki na Ziemi. Nikt też tak dobrze nie rozumie zieminków. - Ależ to rasizm, Abi. Zieminki są takimi samymi ludźmi jak ty i ja.

- Niektórzy. Nie przypominam sobie, żebyś pędził na Ziemię, kiedy tylko masz okazję... co, podziwiasz tutejsze widoki? A może lubisz życie w blaszanej puszcze?

Nie miał na to gotowej odpowiedzi. Abigail mówiła dalej: - Ktokolwiek zostanie Koordynatorem, będzie musiał wymyślić jakieś nieprawdopodobne wyjaśnienie i postarać się o utrzymanie dobrych stosunków między L-5 i Ziemią. To praca twojego życia, ~harlie. I jesteś również tu ogólnie znany i szanowany. Jesteś jedynym kandydatem, logicznie rzecz biorąc.

- Nie polemizuję z twoim logicznym rozumowaniem.

- Wiem o tym. - Żadne z nich nie musiało wspominać o dokumencie podpisanym między innymi przez Charliego, który dawał doktor Bemis prawo podejmowania ostatecznych decyzji co do składu załogi Dedala/Kennedy'ego/Breżniewa. - Charlie, postaraj się nie odczuwać do mnie takiej nienawiści. Ja muszę zrobić to, co jest najlepsze dla moich ludzi. Dla nich wszystkich.

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią wzrokiem pełnym złości, potem wyszedł.

Czerwiec 2076

Fakty i Fotki - 4 czerwca 2076 roku: W PRZYSZŁYM MIESIĄCU KOSMICZNA FARMA ODLATUJE DO GWIAZD

1. John F. Kennedy, który w przyszłym miesiącu wyrusza na Scyllę/Charybdę, przypomina mały L-5 z bombami u ogona (patrz zdj. górne lewe i prawe).

a. Podróż zajmie dwadzieścia miesięcy. Mogą wziąć albo niewiele osób i wszystko wypełnić żywnością, powietrzem i wodą, albo liczną załogę i umieścić ją wewnątrz zamkniętego systemu ekologicznego, takiego jak L-5.

b. Kilkaset osób wystarczyłoby im do obsługi farmy i sprzętu, ale prawie wszyscy astromaniacy chcieli lecieć. W końcu przyzwyczajeni są do takiego życia (a nigdy dotąd nie mieli okazji gdziekolwiek polecieć).

c. Kiedy wrócą, farmy będą wykorzystane na zaczątek L-4, podobnego do L-5, ale najpierw mniejszego i z drugiej strony Księżyca (zdj. dolne lewe).

2. Co do innych faktów i fotek o Trzechsetleciu - patrz strona poprzednia.

Lipiec 2076

W dniu startu Johna F. Kennedy'ego Charliemu kończył się właśnie tydzień pobytu na Ziemi. Zmęczony udzielaniem wywiadów wymknął się z sal prasowych portu promowego na Przylądku. Jego biały identyfikator umożliwił mu wyjście samemu na płytę lotniska.

Wahadłowiec lecący o północy nabierał paliwo na drugim końcu lotniska i połyskiwał białoróżowo w ostatnim świetle zachodzącego słońca. Jego sylwetka chwiała się i tańczyła w drgającym powietrzu unoszącym się z rozgrzanego asfaltu. Zapach rozmięklej smoły zawsze kojarzył się Charliemu z odlatywaniem, z poczuciem ulgi.



Przeszedł na środek pasa startowego i spojrzął na zegarek. Pięć minut. Zapalił papierosa i wyrzucił go. Jeszcze raz sprawdził w myślach swoje obliczenia: lot zacznie się nisko na południowym zachodzie. Zasłonił słońce uniesioną ręką. Sto pięćdziesiąt bomb na sekundę - jak to będzie wyglądało? Dla prasy nazwano je kapsułami paliwa. Ludzie, którzy ostrożnie je zmontowali, delikatnie wnieśli na orbitę i zainstalowali w zbiornikach, ci ludzie nazywali je po prostu bombami. Dziesięć razy jaśniej niż Księżyc w pełni mówili. W L-5 nie wolno było patrzeć na to bez ciemnego filtru.

Żadnego próbnego rozruchu; pojawiło się nagle - niesamowicie błyszcząca, tęczowa plamka tuż nad horyzontem. Jaśniała przez kilka minut, a potem zaszła mgłą i odpłynęła.

W Stanach Zjednoczonych w większości nie zobaczą tego, dopóki statek nie ukaże się ponownie, jakieś dwie godziny później, przemieniając noc w dzień, rywalizując z miejscowymi pokazami ogni sztucznych.

Następnie Chanie znów będzie go widział, co parę godzin, a potem wsiądzie do wahadłowca. Wówczas nie będzie już musiał nazywać go imieniem zmarłego polityka.

Wrzesień 2076

Na L-5 odbyła się cicha uroczystość, kiedy Dedal dotarł do punktu środkowego swojej podróży, wykonał obrót i zaczął zwalniać. Meldunki od jego załogi określały lot jako „monotonny”. W owym czasie rozwijali prawie jedną piątą prędkości światła. Wiązka laserowa, która stanowiła środek łączności, uległa poczerwienieniu, przechodząc z barwy jasnoniebieskiej w pomarańczową. Wiadomość, że obrót odbył się pomyślnie, potrzebowała dwu tygodni na dotarcie z Dedala do L-5.

Zapowiedzieli niewielką zmianę kursu. Przeanalizowali polaryzację światła ze Scyllii/Charybdy, kiedy zwiększyła się odległość kątowna gwiazd. Byli niemal pewni, że układ otoczony jest płaskimi kamiennymi pierścieniami, tak jak Saturn. Wejdą „dołem”, żeby uniknąć kolizji.

Styczeń 2077

Przez trzy tygodnie Dedal wysyłał czytelne, szczegółowe zdjęcia układu Scylla/Charybda. W końcu mieli jedno na tyle fascynujące, żeby zaspokoić nim ziemiaków.

Charlie postawił sześcian hologramu na swoim biurku i zdumiony trącał go palcem ze wszystkich stron.

- Niewiarygodne. Jak oni to zrobili?

- Na pewno fotomontaż. - Johnny był jednym z najmłodszych dorosłych, których pozostawiono: szmery w sercu, strzykanie stawów kolanowych, nadmiar astrofizyków..

- Stroboskopowe zdjęcia gwiazdy w podczerwieni. Coś w tym rodzaju. Jakieś dziesięć albo dwadzieścia tysięcy naświetleń zrobionych w czasie, gdy statek orbitował wokół układu, później wysortowanych i wzmocnionych. Johnny pokazywał palcem, ale to niewiele pomagało, gdyż Charlie patrzył na hologram pod innym kątem.

- Ta warstewka ognia, gdzie stykają się atmosfery - to było zrobione w ultrafiolecie. W ten sposób widać więcej szczegółów subtelnej struktury.

Z pierścieniami było łatwo. Długie ekspozycje w świetle widzialnym. Dodało gwiazdowego tła.

Lekkie stuknięcie do drzwi i ukazała się głowa asystenta.

- Można na chwilkę, doktorze?

- No jasne.

- Dzwoni jakaś kobieta z rosyjskiego komitetu obchodów 1 Maja. Chce wiedzieć, czy zmienili już nazwę statku na Breżniew.

- Hm. Powiedz jej, że zdecydowaliśmy się ostatecznie na Leona Trockiego.

Asystent skinął głową z powagą. - Dobrze - powiedział i zaczął zamykać drzwi.

- Zaczekaj! - Charlie przetarł oczy. - Powiedz jej, hm... statek nie nosi żadnego imienia, kiedy znajduje się na tamtejszej orbicie. Otrzyma je tuż przed startem w drogę powrotną.

- To prawda? - zapytał Johnny.

- A bo ja wiem. Czy to nie wszystko jedno? Za parę miesięcy nie będą chcieli nadać mu niczyjogo imienia. - Charlie i Abigail opracowali plan, szczerze mówiąc, dość wątpliwej wartości, zabezpieczenia L-5 przed gniewem ziemiaków: nikt na satelicie nie wiedział, że Dedal zostanie skierowany ku 61 Cygni. To była decyzja, którą podjęła załoga w trakcie lotu na Scyllę/ Charybdę. W czasie orbitowania wokół podwójnej gwiazdy zmodyfikowali układ napędowy, żeby można było wykorzystać anihilację materii. O buntowniczym planie L-5 miał się dowiedzieć dopiero z transmisji wysłanej ze statku, po opuszczeniu przez niego Scylli/Charybdy. Kiedy informacja o tym dotrze na Ziemię, będą już miesiąc w drodze.

Sprawa była szyta grubymi nićmi, ale przynajmniej wykazali tyle ostrożności, że zatarli na L-5 wszystkie ślady prawdziwej misji Dedala. Niemniej jednak trzy tysiące ludzi prawdę oczywiście znało, a każdy doświadczony inżynier albo fizyk mógł się jej domyślić.

Abi czuła, że choć było więcej niż 50% szans na zdemaskowanie, ziemiaki na pewno nie będą się złościć przez 23 lata - nawet jeśli antymateria i inne cuda nie zrobią na nich żadnego wrażenia...

Tak czy owak, pomyślał Charlie, to już nie jest ich zmartwienie. Jak się okazało, załoga Dedala będzie miała większe problemy.

Czerwiec 2077

Rosjanie zorganizowali u siebie uroczystości pierwszomajowe. Charlie oglądał je w telewizji i krzywił się za każdym razem, gdy wspominali o „wspaniałym statku” Leonid I. Breżniew. A potem wszystko zaczęło biec po staremu.

Charlie i trzy tysiące innych osób czekali nerwowo na „nie spodziewaną” wiadomość. Nadeszła w pierwszych dniach czerwca, jak oczekiwano, zaszyfrowana na kanale łączności technicznej. Ale oznajmiła nie to, co powinna:

Abigail Bemis, do Charlesa Leventhala.

Charlie, mamy awarię. Statek został uszkodzony, oberwał czymś dużym w rufę. Przebiło na wylot główny reflektor napędowy. Zniszczyło komplet czujników jednej z dysz korygujących.

O ile możemy cokolwiek stwierdzić, to sytuacja jest ustabilizowana. Zachowujemy przyspieszenie tylko o ułamek mniejsze od 1g. Ale nie możemy sterować i nie możemy wyłączyć głównego silnika.

Nie było żadnego problemu z pierścieniami, dopóki znajdowaliśmy się w obrębie strefy Roche’a. Wchodząc do niej zdołaliśmy, jak wiesz, wykorzystać naturalne przerwy między pierścieniami. Spróbowaliśmy tego samego w drodze powrotnej, ale wszystko trwało dłużej i było bardziej skomplikowane, gdyż mamy teraz cholernie dużą masę. Musieliśmy trafić na kamienny okruch z obrzeża któregoś z zewnętrznych pierścieni.

Gdyby udało się nam wyłączyć napęd, mielibyśmy może szansę na doprowadzenie wszystkiego do porządku, ale platformy

robocze nie są w stanie nadążyć za statkiem, tym bardziej nie przy Ig. Zresztą panująca tam radiacja i tak usmażyłaby każdego w kilka chwil.

Pracujemy nad tym. Gdybyś miał jakiś pomysł, daj nam znać. Przyszło mi na myśl, że postawiło cię to w dobrej sytuacji - kierowaliśmy się z powrotem na Ziemię, ale dostaliśmy kopniaka w tyłek. Komunikat w tej sprawie wyślę zwykłym kanałem łączności. Ta wiadomość jest bezwzględnie rodzaju „spalić przed przeczytaniem „.

Na tym koniec.

Podziałało znakomicie, jeśli chodzi o wybawienie Charliego i L-5 z kłopotu, a dramatyzm sytuacji wzbudził zainteresowanie lotami kosmicznymi w sposób niespotykany od lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Mieli nawet bohatera. Jakaś ochotniczka wyszła na zewnątrz w mocno ekranowanej gondoli roboczej i spuściła się na linie, żeby rozejrzeć się w sytuacji. Wysłała dokładne zdjęcia uszkodzeń, zanim lina się urwała.

Dedal: A.D. 2081 Ziemia: A.D. 2101

Następujący komunikat został wycofany z Faktów i Fotek, ponieważ był za trudny do przełożenia na „prosty język”, który uczynił gazetę tak popularną:

**STATEK KOSMICZNY PRZELATUJE OBOK 61 CYGNI  
CZY COŚ W TYM RODZAJU (dotyczy sprawy L-5)**

Komunikat, który nadszedł wczoraj ze statku kosmicznego Dedal, podaje, że statek znajduje się teraz w odległości nie większej niż czterysta jednostek astronomicznych od 61 Cygni. Jest to dziesięć razy więcej niż odległość Plutony od Słońca.

Faktycznie statek przeleciał w pobliżu tej gwiazdy mniej więcej jedenaście lat temu, tyle czasu bowiem potrzebowały fale radiowe na dotarcie do nas.

Nie mamy pewności, gdzie oni są obecnie. O ile nie naprawili dotąd napędu plazmowego, to znajdują się około jedenastu lat świetlnych za układem 61 Cygni (kiedy mijali gwiazdę podwójną, osiągnęli już ponad 99% prędkości światła).

Sytuacja jest bardziej złożona, jeżeli patrzy się na nią z punktu widzenia nią z punktu widzenia pasażera statku. Zgodnie z teorią względności czas wydaje się biec coraz wolniej w miarę zbliżania się do prędkości światła. Dla nich upłynęło więc tylko około czterech lat podczas podróży na odległość jedenastu lat świetlnych.

Koordinator L-5, Chanie Leventhal, twierdzi, że na statku znajduje się dość paliwa w postaci antymaterii, by wciąż przyspieszać, aż do skraju Galaktyki. Załoga wówczas będzie starsza o jakieś dwadzieścia lat - ale wiadomość od nich otrzymalibyśmy stamtąd nie wcześniej niż po dwudziestu tysiącach lat...

(Wyrzucić to! Są jeszcze materiały o tym, jak statek wyglądał dla mieszkańców Cygni i jak to się stało, żeśmy mogli z nimi rozmawiać przez cały czas, chociaż czas był tam wolniejszy, ale to wszystko jest równie idiotyczne).

Dedał: A.D. 2083 Ziemia: A.D. 2144

Charlie Leventhal zmarł w wieku 99 lat, zgorzkniały. Prawie dziesięć lat wcześniej wyszło na jaw, że oni od samego początku zamierzali uczynić z Dedała statek międzygwiazdny. Niewielu ludzi zwróciło większą uwagę na tę wiadomość. Między tymi, których to zainteresowało, panowała zgodność, że cokolwiek

spowodowało pozbycie się tysiąca naukowców na raz, było rzeczy dobrą. Patrzenie, jak nas ładnie urządzili.

Dedal: odległy o 67 lat świetlnych i wciąż przyśpiesza.

Dedal: A.D. 2085 Ziemia: A.D. 3578

Po przeszło siedmiu latach badań na pokładzie statku - oraz po około 1500 latach świetlnych podróży - udało się wyłączyć silnik. Dzięki zaawansowanej technice telemetrycznej zadanie zostało wykonane bez narażania jeszcze jednego życia.

Obecnie każde życie było cenne. Przestali być tylko odkrywcami, niemal połowa paliwa została już zużyta. Stali się teraz kolonistami, bez biletów powrotnych.

Wiadomość o ich sukcesie dotrze na Ziemię za piętnaście stuleci. Czy będzie tam jeszcze gdzieś teleskop na podczerwień, by ją odebrać - tego nikt nie potrafił powiedzieć.

Dedal: A.D. 2093 Ziemia: około A.D. 5000

Lecąc coraz wolniej zbadali kilka układów planetarnych leżących na ich kursie. Natrafili na jeden z planetą typu Ziemi wokół gwiazdy typu Słońca i skierowali się ku niemu.

Kiedy schodzili na ląd jako koloniści, dominującą cechą nocnego nieba planety o tej porze roku była piękna, symetryczna chmura gazu, którą astronomowie nazwali Mgławicą Północnej Ameryki.

I oto ironia losu, która nikomu pośród tych kolonistów z L-5 nie przyszła do głowy: z dokładnością do kilku lat Ameryka obchodziła właśnie swoje Trójmillenium.

Po tych trzech tysiącletniach sama Ameryka zmieniła się trochę na gorsze z powodu zużycia. Morza i oceany omywające jej

brzegi uginały się, pod ciężarem purpurowej skorupy beztlenowego życia; wielkie miasta zawałyły się, a ich resztki równały z ziemią nieustające burze piaskowe.

Żadnych fajerwerków nie zorganizowano, z braku organizatorów, z braku publiczności; bakterie po prostu mało to obchodziło. Święta 1 Maja też nie będzie.

Jedyni ludzie Układu Słonecznego żyli w rurze ze szkła i metalu. Obsługiwali swą automatyczną maszynę, odwrócili się plecami do wymarłej Ziemi, czcili gwiazdozbiór Łabędzia i nie pamiętali dlaczego.

Przełożył WIESŁAW LIPOWSKI

## **Czas, aby żyć**

Kiedy żył, mówiono o nim Człowiek, Który Posiada Księżyc, a Człowiekiem, Który Posiadł Księżyc, nazywali go potem, Dr Thorne Harrison:

Urodzony w Arkansas w 1990 r. w małym, nędznym miasteczku z kopalnią odkrywkową. Formalna edukacja zakończona w 2005 r. ucieczką ze stanowego poprawczaka. Dziesięć lat dorywczych zajęć po tej lub po tamtej stronie prawa. Nagły wzrost ambicji i żądy władzy w wieku trzydziestu pięciu lat, miliarder, przewodniczący spółki prowadzącej różnorodną działalność, w większości zgodną z prawem. Po prostu szczęście - tak to nazywał.



Nie wystarcza mu jedna planeta. Mniej więcej na tydzień przed ukończeniem czterdziestki Harrison zwalnia z pracy zarząd i likwiduje swą budzącą nabożny lęk fortunę. Topi każdego pensa w firmie przewozowej Adams-Beeson, którą rozwija i prowadzi. Oferuje podróże kosmiczne każdemu, kto może sobie na nie pozwolić. Kupuje kawałek Księżyca, aby klientom zapewnić miejsce, po które mogliby sięgać. Pałace rozkoszy, miasta wypoczynku, safari dla zblazowanych milionerów. Dokonuje dosyć, by kupić głosy wyborców popierające przekształcenie Marsa na wzór Ziemi.

Kiedy pierwsza kaskada wody spływała w Wielkiej Rozpadlinie, Harrison leżał we własnym geriatrycznym szpitalu w Copernicus City mając 120 lat. Wzruszenie mogło przyspieszyć jego koniec.

Prędeż, prędeż, no prędeż! Długim, białym korytarzem dwaj sanitariusze popychają masywny wózek posuwając się długimi podskokami spowodowanymi księżycową grawitacją; wózek ciężki od aparatury otaczającej kruchą szczapkę ludzkiego ciała: martwego cyborga Dra Thorne'a Harrisona. Krążący w nieelastycznych żyłach utleniony fluorek węgłowodoru utrzymuje mózg w przekonaniu, że żyje.

Wózek mija wahadłowe drzwi sali urządzeń kriogenicznych, zatrzymuje się gwałtownie przed komorą hibernacyjną, obsługa odłącza rurki i przewody, a ciało bezceremonialnie wsuwa do środka. Komora zamknięta, napompowana, uaktywniona - ciało zamienia się w zimny kwarc.

- Dobra robota. - A powiedziano to nie w próżnej nadziei na przyszłe zmartwychwstanie.

Dla jajogłowych to wydarzenie było wielką okazją do popisania się myśleniem.

Zahibernowane ciało Harrisona zapieczętowano w kapsule czasoprzestrzennej i wystrzelono ku centrum Galaktyki. Włożono do niej również superminiaturowe kryształki (no i czytnik), na których opisano z podaniem wyczerpujących szczegółów naturę i dokonania człowieka, umieszczono także dzieła sztuki niewielkich rozmiarów, lecz różnorodne.

Pewna grupa jajogłowych utrzymywała, że Harrison zdradził ludzkość dając najeźdźczym hordom kosmitów mapę szlaków wiodących ku Ziemi. Szczegóły tego, co oni by z nami wyrabiali i dlaczego, pokazały, jak interesująco jest zróżnicowane ujęcie problemu przed poszczególnych jajogłowych.

Subtelniejszy ich odłam założył a priori, że rasa obcych, która już potrafi zrozumieć sens przekazów zawartych w kapsule i przybyć do nas z wizytą, z pewnością musiała w toku ewolucji wyzbyć się agresji oraz innych niskich namiętności; tacy by obserwowali, być może nawet pomogli.

Na gruncie poglądów obu tych grup wyrastały poważne rozprawy i zwykłe prace dyplomowe, a także efemeryczne religie. Były również całkiem inne opinie:

- Dobrze, że stary dziwak mógł wydać swoją forszę tak, jak chciał.

- Niewybaczalne marnotrawstwo niezastąpionych skarbów sztuki.

- Za takie pieniądze powinien nakarmić głodujących.

- Donkiszoteria, po prostu skala czasu jest zbyt rozległa. Zanim ktokolwiek odczyta tę cholerną wiadomość, już dawno nas nie będzie.

- Mam na głowie większe zmartwienia.

- Nie miało to nic wspólnego z prawdą.

Przez stulecie, jak się wydaje, zminiaturyzowany przetwornik firmy Adams-Beeson powoli przyśpieszał kapsułę, zużywwszy całe niemal paliwo, gdy osiągnęła zaledwie mały ułamek prędkości światła. Za pięć tysięcy lat, mniej więcej, przemknęłaby w sąsiedztwie Antaresa.

Kapsuła miała zaprogramowany z góry przetwornik sygnałów zasilany światłem gwiazd. Jednorazowo pobranej energii wystarczyło na 10 lat; wysyła sygnały na fali 21 cm. Nadawanie trwało 90 minut i powtarzano je trzykrotnie; każdy idiota o zwyczajnym ontologicznym przygotowaniu, dysponujący wystarczająco potężnym radioteleskopem, mógł rozszyfrować ten przekaz następująco: „Jestem artefaktem rasy inteligentnej. Mój kurs jest taki a taki. Schwytaj mnie, jeśli możesz”.

Pech chciał, że pojazd ciągnął za sobą całkiem spore pole magnetyczne i zadziały tu równania Maxwella. Kapsuła wpadła w cieniutką, ale niezmiernie rozległą chmurę plazmy i przez lata całe skręcała w prawo zwalniając zarazem. Kiedy się wydostała z chmury, była znowu skierowana w stronę Ziemi i poruszała się z umiarkowaną prędkością.

Po dwudziestu tysiącach lat minęła miejsce, w którym poprzednio znajdowała się Ziemia (naturalnym biegiem rzeczy Słońce się przemieściło) i w zimnej nieświadomości kapsuła pęzła dalej ku chłodnemu zapomnieniu gdzieś pomiędzy galaktykami. Swoją zaszyfrowany sygnał wysyłała wciąż co dziesięciolecie, ale sporo czasu minęło, nim zwrócono na to uwagę.

Obudziłem się z wielkim bólem, lecz trwał on krótko.

- Jak się pan czuje? - zapytała śliczna pielęgniarka w nakrochmalonym zielonym fartuszk.

Nie od razu odpowiedziałem. Było coś nie tak. Z nią, z pokojem szpitalnym, z łóżkiem. Z kantami. Były o wiele za ostre, jakby w przestrzeń za nimi wstrzelono obwódkę.

- Jak się pan czuje? - zapytała brzydka pielęgniarka w średnim wieku w nakrochmalonym zielonym fartuchu. Nie zdążyłem jej schwytać na przemianie. - Czy już lepiej?

Odpowiedziałem, że nie widzę wielkiej różnicy. Bo moje ciało, moje ciało jest o sto lat młodsze. Umysł jasny, ręce i nogi wypełniane sprężystymi mięskami. Bez świadomości źle funkcjonujących organów. Przecież ja nie żyję, zapytałem ją, powiedziałem jej.

- Żyjesz - powiedziała i wtedy schwytałem moment jej błyskawicznej przemiany. Oto jest siwowłosym doktorem o wyglądzie uczonego, płeć męska. - Nie jesteś już martwy. Ale byłeś, bardzo długo. Myśmy cię odbudowali.

Poprosiłem, żeby on/ona przybrał jakąś jedną określoną postać i się już jej trzymał; wyciągnęli mnie z kapsuły zahibernowanego na kamień?

- Tak. Sprawy potoczyły się tak, jak zaplanowałeś, mniej więcej. Zapytałem, co właściwie znaczy to mniej więcej.

- Twoja kapsuła obróciła się i wytraciła prędkość. Wiele czasu minęło, zanim ją spostrzegliśmy.

Usiadłem na łóżku i gapilem się na niego. Jeśli nie mrugnę, to może się nie przemieni. Zapytałem, ile czasu.

- Prawie milion lat. Dokładnie 874 896 od momentu wystrzelenia kapsuły.

Opuściłem nogi z łóżka i dotknąłem stopami gorącego piachu.

- Przepraszam. - Zimna posadzka.

Zapytałem, dlaczego się nie pokaże w swojej prawdziwej postaci. Przecież jestem za stary, by się bać strasydeł.

Przybrał swoją właściwą postać, a ja zaraz poprosiłem, by powrócił do jednej z poprzednich. Musiałem przecież wiedzieć, do którego końca mam mówić.

Kiedy ponownie stał się doktorem, pokój się rozplątał, a my staliśmy na rozległej ciemnobrązowej piaszczystej równinie wśród regularnych wydm. Niewyraźny cień przed moimi oczami wydłużał się, kiedy na niego patrzyłem; zdążyłem się odwrócić, by jeszcze spostrzec, jak Droga Mleczna, dosyć jasna, opada za horyzont. Nie było gwiazd.

- Tak - przyznał doktor - jesteście na skraju twojej galaktyki. Na przeciwległym horyzoncie podniosło się coś na kształt słońca. Ciemne, czerwone i olbrzymie, zamazane na krańcach. Podczerwony olbrzym, odpowiedziała mi moja pamięć.

Zapewniłem go, jak wysoko sobie cenię renowację mojego ciała, i zapytałem, czy nie mógłbym się na coś przydać. Może coś opowiedzieć o dawnych czasach?

- Dowiedzieliśmy się już wszystkiego, czego mogliśmy, kiedy się zajmowaliś odbudowywaniem ciebie. - Uśmiechnął się.  
- To my, przeciwnie, czujemy się twoimi dłużnikami. Czy możemy cię dostarczyć z powrotem na Ziemię? Ta planeta dla nas jest zupełnie dobra, ty jednak, obawiam się, możesz ją uznać za nudną.

Powiedziałem, że mam wielką ochotę znaleźć się z powrotem na Ziemi, ale najpierw chciałbym zwiedzić choćby skrawek jego świata.

- Cały mój świat jest identyczny z tym, co widzisz. Żyję w braku różnorodności. Inni przedstawiciele mego gatunku zamieszkują podobne miejsca.

Poprosiłem, aby mi pozwolił spotkać się z innymi.

- Obawiam się, że to raczej niemożliwe. Nawet gdybym ja był skłonny cię tam zabrać, oni by odmówili spotkania. I po chwili dodał: - To jest coś w rodzaju tutejszej polityki.

Ujął moją dłoń i wznieśliśmy się w górę, a jego planeta skurczyła się do rozmiarów ciemnej plamki i zniknęła. Nasza galaktyka wciąż rosła i nagle znaleźliśmy się w jej wnętrzu; gwiazdy przepływały obok.

Zapytałem, czy to jest teleportacja.

- Nie, to rodzaj maszyny. Jakby statek kosmiczny, ale szybszy, wydajniejszy. Pod jednym względem mniej wydajny.

Zacząłem się dopytywać, jak to się dzieje, że my możemy oddychać i rozmawiać, ale na jego niesamowity widok zamilkłem. Wydawało mi się, że migocze, jakby miał się znowu przemienić. Ale się nie przemienił.

- To powinno być interesujące - zaczął, kiedy żółta gwiazda rozjaśniła się i zaczęła olbrzymieć, aż poznałem w niej Słońce. - Nie byłem tu od dziesięciu, dwunastu tysięcy lat. - Błękitnozielona kula ziemską nagle znalazła się pod nami i zatrzymaliśmy się na chwilę. - To krótka wycieczka, ale ja rzadko się wybieram gdziekolwiek - dodał tonem usprawiedliwienia.

Kiedy dryfowaliśmy ku powierzchni Ziemi, nad Afryką właśnie zachodziło Słońce. Odniosłem wrażenie, że kształt zachodniego wybrzeża nie zmienił się wiele.

Atlantyk przemknął pod nami niby smuga i stanęliśmy na ziemi gdzieś w północno-wschodnich Stanach Zjednoczonych. Wylądowaliśmy na pastwisku. Płot z drutu, aż nie do wiary, wyglądał na zrobiony z identycznego lśniącego aluminium, jakie zapamiętałem z dzieciństwa.

- Gdzie jesteśmy? - zapytałem.

Odpowiedział, że się znajdujemy dokładnie na północ od Canaan, w stanie Nowy Jork. Parę kilometrów stąd jest szosa,

mógłbym znaleźć postój ciężarówek i poprosić o podwiezienie. Migotał teraz bardzo szybko i nawet kiedy był widzialny, mogłem przez niego dojrzeć pastwisko.

- O czym ty mówisz? - powiedziałem. Nie mogą istnieć, nie ma szos i ciężarówek milion lat w przyszłości. Popatrzył na mnie z politowaniem i powiedział, że jesteśmy w mojej przyszłości, tylko o pięć lub dziesięć lat od daty mego urodzenia. Co najwyżej dwadzieścia. Czyżbym nie miał najlżejszego pojęcia na temat relatywizmu?

I już go nie było.

Jakiś rolnik szedł w moją stronę, z kosą, która paskudnie wyglądała. Na pastwisku nie było niczego do skoszenia, oprócz mnie.

- Piękny mamy ranek - powiedziałem do niego. Wtedy dopiero zauważyłem, że jest po południu.

Podszedł na odległość ciosu i przystanął, surowy i groźny. Zajrzał za mnie z jednej i z drugiej strony.

- A ten drugi facet gdzie?

- Kto? - O mało co nie powiedziałem, że sam chciałbym wiedzieć. Jaki facet? - Obejrzałem się przez ramię.

Przetarł oczy.

- To przez te cholerne szkła kontaktowe. A ty tu czego na moim polu?

- Zgubiłem drogę.

- A co, nie widzisz, gdzie płot?

- O, rzeczywiście, najmocniej parna przepraszam. Właśnie szedłem do tego domu, by zapytać o drogę do Canaan.

- A czego łazisz przebrany jak cudak? - Miałem na sobie klasyczny garnitur, dokładnie taki sam, w jakim pochowano Harrisona.

- To taka moda, proszę pana. Wielkowiejska.

Potrząsnął głową.

- Smarkateria. Przez płot przejdiesz o, tamtędy - pokazał - i prosto aż do drogi. Tylko trzymaj się z daleka od płotów i uważaj, do cholery, na moją fasolę. Jak dojdiesz do drogi, to masz Canaan w lewo.

- Dziękuję panu. - Odwrócił się i ciężko stąpając ruszył do domu.

Na postoju ciężarówek kalendarz wskazywał rok 1995.

Niełatwo siedzieć bez grosza przy duszy w Nowym Jorku, chyba że ma się ciało dwudziestolatka i ponad stuletnie doświadczenie w pozbawianiu ludzi ich pieniędzy.

Już po tygodniu człowiek, który kiedyś był Harrisonem, mieszkał w eleganckim apartamencie pod osłoną muru okalającego dzielnicę East Village, a za oszczędzane pieniądze mógł sobie kupić czas do namysłu. Ponownie żyć jako Harrison nie miał ochoty, tego był pewien. Poza nudą przeżywania tego samego losu, wiedział (jako Harrison), że aż do pięćdziesiątki jego egzystencja nie należała do najszcześniejszych. Oddany całkowicie zdobywaniu bogactwa i władzy, sam nieufny, nie budził zaufania innych.

A poza tym Harrison był pięciolatkiem w Arkansas i właściwie zaczynał dwadzieścia pechowych lat, które miały poprzedzić stulecie lepszej passy.

I ten chłód.

Poszedł do biblioteki i Przejrzał sobie mikrofiszki „Forbesa” i „Tygodnia w interesach” z paru ostatnich lat. I odnalazł, kim był i miał teraz pozostać, wynikło mu to z pewnej niezręczności, którą jako tamten popełnił. I dlatego mógł sobie zapewnić przeszłość za mniej niż tysiąc dolarów. Było to parę dokumentów sporządzonych tak, aby pasowały do idealnie już przedtem przez niego pod-



robionych wstawek w rządowym banku danych. I już mógł popełnić parę pozornie nielogicznych posunięć inwestując w towary, co w niecały rok robi z niego milionera. Kupuje upadającą firmę elektroniczną i nazywa ją swoim nazwiskiem: Lassiter Electronics.

Zapłacił brodę, która, jak wiedział, miała mu przedwcześnie posiwieć. Firma kwitnie. Kupuje fabrykę masy plastycznej i przemianowuje ją na Zakłady Lassitera. Dalej największe zakłady drukarskie w Pensylwanii. No i przetwórstwo rybne.

W 2010 przybywa do Galveton i na plaży w hazardowej grze w kości specjalnie traci dużą sumę do swego partnera, chłopaka o zaciętym spojrzeniu, który był całkiem niezły w zwykłym wyrzucaniu kostek. Lassiter był przecież lepszy, a więc teraz tak wyrzuca kostka, by przegrywać. Bo to jest przecież w dwa dni po dwudziestych urodzinach Harrisona i po jego pierwszym wielkim niepowodzeniu.

Mały bank, potem duży bank. Firma kosmiczna. Tekstylia. Udział w fabryce orbitalnej: zminiaturyzowane łożyska i kryształy do gromadzenia danych. Wszystko się teraz nazywa Lassiter Ltd.

W 2018 cierpliwie wypracowując swój nieodwracalny los przyjmuje do pracy młodego D. Thorne'a Harrisona jako analityka czasu i ruchu, a przecież wie, że wszystkie jego dyplomy są fałszywe. Ale to daje Harrisonowi dostęp do tajnych informacji.

Do roku 2021 Harrison zostaje młodszym wiceprezesem odpowiedzialnym za produkcję. W 2022 awansuje na stanowisko wiceprezesa. Jest najmłodszym członkiem zarządu i dysponuje poufnymi informacjami o innych członkach.

W 2024 Harrison przynosi do biura Lassitera dokumenty stanowiące dowód na to, że jest w posiadaniu pakietu 5196 akcji firmy Lassitera, zapewniającego mu wygraną w wyborach. Spo-

dziewa się walki. Ale Lassiter przyjmuje spłatę gotówką, zadziwiająco małą, i znika z życia Harrisona.

Lassiter miał jeszcze prawie sobą połowę życia, a pieniędzy wystarczyłoby mu na znacznie dłużej. Kupił więc luksusowe nieruchomości w Paryżu, Key West i w Kolorado. Przebywa w nich w zależności od pogody i pary roku. Kilka lat poświęcił na nieśpieszną wycieczkę naokoło świata. Swoją niebagatelną energię umysłową skierował raczej w stronę świata sztuki niż finansów. Stał się znakomitym klawikordzistą; awangarda ceniła go za konstrukcje w duchu neopuentylistycznym: rzeźby w zamrożonym świetle, delikatne wybuchy lasera zamknięte w sześcianie ze światłoczułego żeluzynu. Piękne kobiety były zafascynowane mężczyzną, któremu się tak powodzi w zupełnie przeciwnych dziedzinach.

Ale koleje losu Harrisona śledzi uważnie: i tę wielką wyprzedź w 2030, i wykupienie firmy Adama-Beeson (co dla większości obserwatorów wyglądało na lekkomyślne przedsięwzięcie) i następnie utopienie fortuny w inwestycjach na Księżycu, po to, by ją stokrotnie pomnożyć.

A kiedy na Marsie zasiewano właśnie ekologiczne katalizatory, Harrison był starym człowiekiem marnującym lata, których sobie nie kupi, a Lassiter leżał w Key West na łożu śmierci.

W słonej bryzie na otwartej werandzie, nie chcąc, by zakłócano mu koniec rurkami w żyłach, krzątaniną i sterylnym zimnym powietrzem, wysłał swoją jedyną pielęgniarkę z poleceniem, które miało jej zająć zbyt wiele czasu; jego ostatnie słowa, łagodne i uspokajające, zaprzeczają kolkom bólu w piersi. Parter domu jest pełen szlochających wielbicieli przyjaciół nie zdołał sobie kupić i kiedy bladoniebieskie niebo przechodzi w ciemną czerwień, stwierdza, że jest szczęśliwym człowiekiem, i zastanawia się, jak

to zrobi następnym razem. Uważa się za animatora marionetek, nawet jeśli pociągnął za ostatni sznurek.

*Przełożyła Emma Popik*

## **Prywatna wojna szeregowca Jacoba**

Za każdym krokiem obcas twojego buta przebija w chrzęstem wysuszoną słońcem skorupę, stopa waha się przez chwilę, a potem grzęźnie w grubej na cal warstwie miłkiego, czerwonego pyłu, skąd wyciągasz ją z takim samym chrzęstem. Weź teraz pięćdziesięciu chłopów maszerujących w szeregu przez tę pustynię, a zabrzmi to tak, jakby ktoś miażdżył wielką miche dobrze przypieczonych grzanek.

Jacob ujął laserowy miotacz lewą ręką i natarł prawą dłoń pyłem. Potem przełożył broń do prawej ręki i natarł pyłem lewą dłoń. Plastikowe uchwyty stają się bardzo śliskie, kiedy, jak dzień długi, zraszasz je własnym potem, a nie chcesz przecież, żeby ten przeklęty gnat wysliznął ci się z garści, kiedy padając, turlając się po ziemi, czołgając, wstając i znów spadając pokonujesz przestrzeń dzielącą cię od nieprzyjaciela, bo nigdzie, poza placem defilad, nie wolno ci przewiesić broni przez ramię; jakaś cholerny artysta od suwaka logarytmicznego wyliczył, gdzie ten uchwyt umieścić, i wyszło mu za wysoko - a spróbuj tylko oderwać to draństwo i wyrzucić. Spróbuj też ściągnąć ten przeklęty hełm. Pal licha, że mając go na głowie jesteś bezpieczniejszy. Zakazali i basta. I to kategorycznie, zwłaszcza jeśli chodzi o te hełmy.

- Ciesz się życiem, Jacob. - Przed bitwą sierżant Melford był zawsze rozpromieniany i pełen werwy. W ogniu walki również. Uśmiechnął się do zasieków i szczyrzył zęby do swoich ludzi, kiedy się przez nie przedzierał ostrożnie - jeśli szło się za szybko, rozrywały, jeśli za wolno, parzyły - i uśmiechał się smutno, kiedy któryś z jego ludzi zastał wyzerowany, a rżał, rżał radośnie, kiedy pierwszy dostrzegł nieprzyjaciela, i piał z zachwytu, kiedy wyzerowany został wróg, i przez całą tę żalną szopkę nic, tylko uśmiechy, uśmiechy, uśmiechy. „Gdyby choć przez chwałę się nie uśmiechał” - powiedział kiedyś, dawno temu, młody staruszek Addison do Jacoba - „gdymby choć raz uronił łzę albo się zachmurzył, znalazłaby się naraz pięćdziesięciu takich, którzy tylko czyhają na okazję, żeby wyzerować tego sukinsyna”. Jacob spytał wtedy, dlaczego, a Addison odparł: „Kiedy następnym razem będziesz szedł w piekło za tym postrzelonym sukinsynem, uważaj dobrze, co się dzieje w twojej duszy, a jak wrócisz, powiesz mi, co o nim myślisz”.

Jacob nie był wcale taki głupi i zwracał uwagę na to, co się dzieje pod jego hełmem. Wpływ sierżanta Melforga sprowadzał się głównie do tego, że Jacob był rad, iż nie jest tak samo szalony, i bez względu na to, jak źle stały sprawy, przynajmniej on nie cieszy się z tego, jak ten zwariowany, zarykujący się, wiecznie uśmiechnięty, niepoprawny sierżant Melford.

Chciał jeszcze pogadać z Addisonem i spytać go, dlaczego tak się dzieje, że czasami człowieka naprawdę aż mdli ze strachu, a jak tylko spojrzy w górę i zobaczy Melforda, jak stoi okrakiem nad jakimś usmażonym, parującym trupem i zrywa boki ze śmiechu, jakby mu ktoś w kieszeń narobił, toteż, chce czy nie chce, musi się uśmiechnąć - i czy dzieje się tak po prostu dlatego, że to wszystko jest tak obłąkańczo straszne, czy jak? Addison potrafiłby może wyjaśnić to Jacobowi, ale Addison oberwał poniżej pasa

i miał paskudnie poharatane obie nogi i krocze i upłynęło wiele czasu, zanim wrócił do oddziału, a wtedy nie był już młodym starszkiem, tylko po prostu starcem. I niewiele się odzywał.

Dokładnie natarłszy obie dłonie pyłem, aby uchwyt miotacza nie ślizgał się w garści, Jacob poczuł się bezpieczniejszy i uśmiechnął się do sierżanta Melforda.

- Powalczymy, sierżancie. - Gdybyś wyrwał się z czymkolwiek innym, w rodzaju, że to długi marsz i dlatego by chwilkę nie odsapnąć przed natarciem, sierżancie, albo rzygać mi się chce ze strachu, sierżancie, i jeśli mam zginąć, to wolałbym na samym początku, nie wyszłoby ci to na dobre, o nie. Stuknięty Melford przykucnąłby wtedy przy tobie, dał ci parę przyjacielskich kuksańców i obśmiałby cię błyskając tymi swoimi białymi zębami, aż w końcu chciałoby ci się krzyczeć albo wiać, gdzie pieprz rośnie, ale zamiast tak zrobić, wziąłbyś się w garść i mimo wszystko powiedział: - Tak jest, sierżancie, powalczymy.

Większość z nas uważała, że on jest taki stuknięty, bo za długo już walczy na tej zwariowanej wojnie, tak długo, że nikt nie pamięta takiego, co by twierdził, że pamięta; a przy tym, chociaż pojedynczo i dwójkami zerowano mu pluton za plutonem, on nigdy nie odniósł najmniejszej rany. Maże to, że nigdy nie był ranny, tak na niego wpłynęło. Tak czy inaczej, żaden z nas nie współczuł temu postrzelonemu sukinsynowi.

Wesley próbował to wytłumaczyć w następujący sposób:

- Sierżant Melford jest zbiegiem nieprawdopodobieństw.

Starał się wyjaśnić, co to jest zbieg, ale Jacob nie bardzo chwycił, o co mu chodzi, a potem usiłował wyjaśnić, co to jest nieprawdopodobieństwo, i to wydawało się Jacobowi całkiem proste, ale nie widział w tym żadnego związku z matematyką. Wesley miał jednak dar przekonywania i być może pewnego dnia zdołałby to wreszcie wytłumaczyć, ale kiedyś próbował przebiec

szybko przez zasieki - wydawałoby się, że nawet cywil wie, że tego robić nie wolno - upadł i małe metalowe płuskiwy wyżarły mu twarz.

Dopiero po stoczeniu kolejnych dwudziestu, a może dwudziestu pięciu bitew - któż je zliczy - Jacob uświadomił sobie, że przecież sierżant Melford nie tylko nigdy nie odniósł rany, ale i nigdy nie zabił ani jednego nieprzyjaciela. Szalał tylko wśród walczących wyśpiewując rozkazy i promieniejąc szczęściem, i od czasu do czasu naciekał spust swego miotacza, ale wiązka szła zawsze albo za wysoko, albo za nisko, albo znów była za szeroka. Zastanowiło to Jacoba, ale teraz w pewnym sensie bardziej bał się sierżanta Melfomda niż nieprzyjaciela, trzymał więc język za zębami i czekał, aż ktoś inny zauważy to co on.

W końcu Cramweld, który przyszedł do plutonu w jakieś dwa tygodnie po Jacobie, powiedział głośno, że według niego sierżant Melford chyba nigdy nikogo nie wyzerował i że on ma na ten temat własną teorię, a mianowicie, że ten stary, zwariowany sukinsyn jest szpiegiem wroga. Mieli niezły ubaw roztrząsając przez chwilę taką możliwość, a potem Jacob powiedział im o starej teorii zbiegu nieprawdopodobieństw i jeden z nowych chłopaków stwierdził, że tak, on na pewno jest takim niepodobnym zbiegiem, i obśmiali się wtedy wszyscy jak norki, tym bardziej że podszedł do nich sierżant Melford i spytał, co ich tak bawi, ale Jacob nie wspomniał mu o zbiegu nieprawdopodobieństw, tylko uraczył go starym wojskowym żartem, że chlebak, jak sama nazwa wskazuje, służy do noszenia granatów. Cromwell zaśmiewał się tak, jakby miał nie dożyć jutra, no i nie dożył, nawet zachodu słońca, bo poszedł na stronę, żeby się odesrać, i wpadł w matrycę prasującą.

Podczas następnej bitwy nieprzyjaciel po raz pierwszy zastosował pole drenujące i oczywiście miotacze przestały działać,

i ostatnią rzeczą, jakiej nauczyło się wielu ludzi, było to, że lekka, plastikowa kolba miotacza jest cholernie nieskuteczną bronią przeciwko długiemu nożowi, a tych nieprzyjaciół miał mnóstwo. Jacob przeżył, bo na szczęście kopniak wymierzony w jego krocze wylądował na kolanie i biedny napastnik wymachując rękami starał się zachować równowagę, wypadł mu z dłoni nóż, a Jacob podniósł go i zrobił mu jeszcze jeden otwór - tuż pod pępkiem, szeroki na osiem cali.

Pluton miał wielu wyzerowanych i musiał się wycofać, co uczynił bardzo szybko, ponieważ w polu drenującym nie działały też zasieki pozostawili na polu bitwy Addisona siedzącego na ziemi z rękoma na kolanach i opartego plecami o drewnianą skrzynię. Żegnał ich szerokim, czerwonym, obleśnym uśmiechem, tylko że ten uśmiech nie malował się na jego twarzy.

Kiedy zabrakło Addisona, żaden z szeregowców nie mógł się pochwalić tak długim bojowym stażem co Jacob. Kiedy rozproszony pluton zebrał się znowu w strefie neutralnej, sierżant Melford wziął Jacoba na stronę i powiedział prawie bez uśmiechu:

- Jacob, wiesz, że teraz, gdyby cokolwiek mi się przytrafiło, ty obejmiesz pluton. Prowadź ich zawsze w szyku rozproszonym i wciąż naprzód, a co najważniejsze staraj się, żeby zawsze byli zadowoleni.

- Sierzancie - odparł Jacob - mogę im rozkazać, żeby utrzymywali odpowiedni szyk, i myślę, że posłuchają, a na tyle są mądrzy sami, żeby przeć naprzód, ale jak mogę utrzymać ich w dobrym nastroju, skoro sam czuję się nietęgo, zwłaszcza gdy pana nie ma w pobliżu.

Uśmiezek sierżanta rozszerzył się i przerodził w śmiech. Ty stary, zwariowany sukinsynu, pomyślał Jacob, i ponieważ nie mógł się powstrzymać, roześmiał się również.

- Oto niech cię głowa nie boli - powiedział sierżant Melford. To przyjdzie samo w odpowiednim czasie.

Pluton ćwiczył coraz więcej walki na noże i maczugi oraz uczył się robić użytek z własnych rąk i nóg, ale nadal musieli nosić w bój miotacze, bo oczywiście nieprzyjaciel mógł wyłączyć pole drenujące, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Jacob zafasował parę zadrapań i stracił kawałek nosa, ale sanitariusz nałożył mu na ranę jakiegoś kremu i nos odrósł. Nieprzyjaciel zaczął używać łuków i strzał, a więc musieli nosić również tarcze, ale z tym nie było tak źle, od kiedy skonstruowano taką tarczę, która osłaniała oba boki i nie obijała się o miotacz. Jedna z drużyn wyspecjalizowała się w strzelaniu z łuków i sprawy wróciły do normy.

Jacob nigdy nie był pewien, w ilu bitwach brał udział jako szeregowiec, ale było ich dokładnie czterdzieści jeden. I rzeczywiście, pod koniec tej czterdziestej pierwszej nie był już szeregowcem.

Od kiedy pluton dysponował drużyną łuczników, sierżant Melford zwykł zostawać z nimi z tyłu i zaśmiewając się wykrzykiwał rozkazy pod adresem plutonu, a od czasu do czasu wypuszczał strzałę, która zawsze lądowała tam, gdzie akurat nikogo nie było. Ale w tej właśnie bitwie (czterdziestej pierwszej bitwie Jacoba) wiodło im się bardzo źle. Pierwsze natarcie zostało powstrzymane, a następnie odparte prawie pod stanowiska łuczników; a wtedy na tyły łuczników natarły nowe siły nieprzyjaciela.

Drużyna Jacoba miała się między łucznikami a posiłkami nieprzyjaciela, a Jacob walczył ramieniem w ramię z sierżantem Melfordem, walczył zupełnie na poważnie, podczas gdy stary Melford zarykiwał się ze śmiechu, postrzelony sukinsyn. W tym ułamku sekundy Jacoba ogarnęło dziwne przecucie, schylił się, a nad jego głową przeleciała ze świstem ciężka maczuga, grzmotnęła



w bok hełmu sierżanta Melforda i ścięła jego wierzch tak gładko, jakby to było jajko na miękko. Jacob opadł na kalana i wpatrywał się jak zahipnotyzowany w hełm leżący na ziemi tuż za plecami łuczników, pełen po brzegi jakiejś kotłującej się brei, i zastanawiał się, dlaczego w tej szaroniebieskiej, zmieszanej z krwią papce pływają małe szklane kulki i kostki, a potem wszystko po prostu zniknęło.

Wewnątrz góry kryształu, pod górą ze skały, maleńki, piezo-elektryczny przełącznik, sześćdziesiąt cztery cząsteczki w jednej kostce, przerzucił się w położenie WYŁ i niemal z szybkością światła przeprowadzana została następująca procedura:

JEDNOSTKA 10011001011MELFORD PRZYPADKOWO  
ZDEZAKTYWIZOWANA.

PRZEŁACZYĆ JEDNOSTKĘ 1101011100JACOB DO  
STATUSU KATALIZATORA.

(PRZEŁĄCZANIE ZAKOŃCZONE)

ZAKTYWIZOWAĆ I POINSTRUOWAĆ JEDNOSTKĘ  
1101U11100JACOB.

I tak samo po prostu powróciło. Jacob wstał i rozejrzał się dookoła. Ta sama znajoma, spalona słońcem pustynia, ale wszyscy, prócz niego, wydają się martwi. Przyjrzał się lepiej i zauważył, że ci, którzy nie byli wyraźnie wyzerowani, wciąż jeszcze słabo oddychają. I zastanowiwszy się chwilę, wiedział już dlaczego. Zachichotał.

Przekraczając ciała leżących na ziemi łuczników podszedł do krwawego czerepu Melforda i podniósł go. Wsunął ostrze noża między hełm i włosy zwierając indukcyjny pasek przytrzymujący hełm na głowie i służący jednocześnie do odbioru i nadawania sygnałów. Upuściwszy hełm na ziemię przeniósł ostrożnie przera-

żającą przelysiałą czaszę do polowej latryny nieprzyjaciół. Wiedząc dokładnie, gdzie szukać, wyłowił z niej wszystkie kawałki i okruchy kryształu i wrzucił je do cuchnącej dziury. Potem wrzucił oczyszczony mózg z powrotem do hełmu i ułożył w takiej samej pozycji, w jakiej go znalazł. Co uczyniwszy wrócił na swoje miejsce przy trupie Melfarda.

Porażeni ludzie zaczęli się poruszać, a kilku najodporniejszych dźwignęło się na czworaki.

Jacob odrzucał w tył głowę i miał się, śmiał jak szalony.

*Przełożył Jacek Manicki*

## Požoga

Xięga ta prave žecze Požogi dz'eje,

I o Ludz'ach kryjących s'ę pszed Vichrem, co v'eje,

Pszed Možem i N'ebem; co os'emdz'es'ąt lat I pov'e, dla-  
czego miał skon'czyc' s'ę s'vjat,

I o tym, jak p'ervszy ras p'ervsi Ludz'e,

Ku Pułnocy pszedz'erali s'ę v trudz'e Uc'ekając od Słon'ca,  
co Požogę ssyłało A Bug niszczył žyc'e, k'edy ono s'ę jusz za-  
czynało.

Xięga 1,1,1—4

To Lars Martin musiał się podjąć tej niewdzięcznej pracy kontrolera. Siedział właśnie na pomoście pod płóciennym daszkiem, a przed nim stała waga z szalkami wzdęta z targowiska. Miał stos wodoszczelnych woreczków z rybich pęcherzy i notes z nazwiskami wszystkich mieszkańców miasta. Na jednej szalce leżały dwa odważniki nie większe od pięści, na drugą każda rodzina kładła te rzeczy osobiste, które pragnęła zabrać wyruszając

na północ. Dwa ciężarki to nawet nie dwadzieścia funtów, toteż w każdej rodzinie wyklócano się pomiędzy sobą, a wszyscy targowali się. jeszcze z Larsem.

Lars był nosicielem książek (co miało w tym mieście dosłowne znaczenie), a czytelne pismo i łatwość rachowania zdecydowały o wyznaczeniu na kontrolera właśnie jego. Ale był również człowiekiem miłosiernym i cierpiał z powodu własnej nieugiętości. Powiększała się obok niego kolekcja odrzuconych skarbów: lalki, bogate stroje, komplety półmisków i serwisy, kosztowności i nawet monety. A także książki, co najbardziej go raniło. To on napisał większość z nich.

— Wciąż za mało, Fred. — Fred nie miał rodziny, a przydzielono mu pełną wagę. — Czemu nie weźmiesz jednej z nich? — Ze stosu rzeczy odrzuconych Lars wydobył książki i równo poukładał je na stole.

— Większość czytałem — odpowiedział Fred. Uniósł egzemplarz „Metalurgii” należący do miasta. — A tę znam na pamięć.

Lars pogmerał w stosie monet i sztabek złota; tylko one znalazły się w bagażu Freda. — Kiedy powrócimy — powiedział — te książki będą warte więcej niż srebro i złoto.

37

— Każdemu to mówisz — Fred zaśmiał się niewesoło. — Podzielał twoje uczucia, bo najlepsza część mojej pracy również się marnuje.

— To zupełnie co innego — powiedział Lars, którego nużyła ludzka tępota. — Po wszystkim możesz ponownie zrobić sztabki.

— A ty napisać książki.

— Dwie, trzy może bym i zdołał — przyznał Lars. — A co do innych... z pamięci starego Johansena odkopałbym historię, z twojej — metalurgię, podobnie z innymi. I nawypożyczamy sobie

książek z innych miast. Jeśli my będziemy mieli pieniądze, a oni książki.

— Dotychczas było dobrze.

— Naprawdę? W każdej Pożodze tracimy sporo książek.

Fred wzruszył ramionami.

— Nie jest źle. Przecież tych, które masz w głowie, nikt ci nie zabierze. Przetrwają więc najlepsze. A to nie jest strata.

Lars wiedział, że Fred go nabiera, po części będąc uczciwy. Zdawał sobie również sprawę z tego, że kiedy coś objaśniał, dorosłych traktował jak dzieci, czy to z przyzwyczajenia — bo dzieci uczył cyfr i liter — czy z roztargnienia. Kiedy się na tym złapał, uważał to za bardzo zabawne. Żart — rzecz by można z epoki podbojów, choć właśnie to słowo dawno zniknęło z ich języka. Zdobywanie ziem to luksus, na jaki ich rasy nie było już stać, co czwarte pokolenie musiało się przygotowywać do kosmicznej klęski. Z której przez następne trzy usiłowali się podnieść.

„Światem” nazwali swoją planetę, gwiazdę podwójną, wokół której orbitowała — „słońcami”. To ostrzej świecące powodowało Pożogę wybuchając blaskiem co osiemdziesiąt trzy lata. Ich dalecy przodkowie nazwali planetę Dzieckiem Urodzonym w Czwartek, kiedy całkowicie zagubieni wyłonili się ze ślepej przestrzeni przed dwoma tysiącami lat. Ich statek kosmiczny był uszkodzony, a zapasy na wyczerpaniu i rada starszych robiła spis regulujący kanibalizm. Dziecko Urodzone w Czwartek wydało im się z orbity niewiarygodnym cudem: przykryty czapami lodu glob zieloności, ciepłych brązów i migotliwego błękitu. Wylądowali i stwierdzili, że ziarno i sadzonki dobrze się przyjęły w glebie, a w morzu kłębiło się bogactwo żywych stworzeń. Jedynymi lądowymi zwierzętami były owady i robaki w paru zaledwie gatunkach.

Podjezwali, nawet przed wylądowaniem, że planeta choć tak gościnnie wygląda, jest całkiem obcym światem. Gwiazda

główna była podwójna, ona i planeta obracały się w jednej płaszczyźnie, prawie tak samo jak Ziemia, jej Słońce oraz Jowisz. Planeta o osi prostopadłej do płaszczyzny ekliptyki zasłaniała raz jedną, raz drugą gwiazdę i to dawało na przemian porę roku zimną i ciepłą.

Lecz niektóre cechy geologiczne i jawna niezdolność planety do utrzymania rozwiniętych form życia na lądzie spowodowały, że uczeni zaczęli baczniej się przyglądać bliźniaczym słońcom. Odkryli, że większe z nich to cykliczna nowa. Co osiemdziesiąt lat, mniej więcej, następuje jej

krótkotrwały wybuch. Podczas największego natężenia blasku planeta zostaje porażona światłem stokrotnie silniejszym od normalnego.

Tak więc pierwsza Pożoga nie wzięła ich przez zaskoczenie, mieli dwadzieścia lat na zaplanowanie sposobu ocalenia. Nie było jednak jednego rozwiązania — jasnego i górującego nad innymi, a tylko wiele możliwych alternatyw.

Mogliby spróbować przeżyć, jak to robiły ryby dotarłszy wystarczająco głęboko pod powierzchnię oceanu. W taki sposób byliby oddzieleni — zarówno od promieniowania, jak i niewątpliwie okrutnej pogody — grubą warstwą wody. Ale jaka głębokość będzie tą właściwą? Nie mieli czasu ani sprzętu, by opuścić statek w głębinę. Woda przecież mogłaby stanowić środowisko bardziej nawet wrogie niż ląd, a głębokość bezpieczna była absolutnie niemożliwa do obliczenia. Ten sposób musieli odrzucić.

Jako że moza dla tych są jedyn'e,

Co s'ę rodzili w głębin'e.

Vy jesteście oycami.

Vody n'e dla gżeszniego są człeka,

N'echże v może n'e uc'eka.

Vy jestes'c'e oycami.

Xięga 1,4 26—29

Odrzucili również pomysł zagrzebania się w ziemi, co było sposobem robaków na przeżycia całopalenia. W najlepszych nawet warunkach panowała tam znaczna aktywność sejsmiczna.

Dopiero bieguny przyniosły rozwiązanie. Szczególnie północny, gdzie wysoki krater nieomal na wierzchołku świata tworzył jakby naturalną fortecę. Przez jego skały nigdy się nie przebiły promienie słońca, więc panowało tam okrutne zimno, ale z nim mogliby się uporać.

Transport stanowił problem. Jedyne statek zwiadowczy używany do badania terenu mógł pomieścić niewiele więcej poza pilotem. Ale mieli narzędzia, czas i drewna pod dostatkiem, otworzyli więc różne podręczniki dla kolonizatorów i zaczęli studiować budowę statków i nawigację.

Ostateczne rozwiązanie było proste i śmiałe — wariackie, niektórzy twierdzili. Trzeba po prostu wynieść statek na orbitę i przeczekać katastrofę postawiwszy go nieruchomo w przestrzeni pod osłoną cienia planety. Ale inżynierowie nie mogli zagwarantować, że statek w ogóle się wzniesie jak należy, a bez sterowania wyczyniałby najdziwaczniejsze manewry.

W końcu podzielili się na dwie grupy, większość kolonistów budowała flotyllę, która miała ich zabrać na północ.

To ostszełgo tych, co szukali miejsca v n'eh'e, by ocalić tylko s'eb'e.

Vy jestes'c'e początkem.

Tako żekl. N'e posłał nas na ten s'vjat Bug

39

By Człek na nim życ' mugl.

Vy jestes'e'e początkiem.

Xięga 1,4 34—37

Małą grupkę, która się opowiedziała za użyciem statku, szybko opuściło szczęście. Silnik przestał pracować na wysokości nawet nie kilometra i runęli w morze. Przez wiele lat szczątki statku gwiazdno były widoczne w płytkiej wodzie i w końcu stały się jądrem dla długowiecznych organizmów przypominających koralowce. Zapomniano, gdzie leży, a kiedy przeminęło parę tuzinów pokoleń, sam fakt przeszedł z pamięci w przekazywaną ustnie historię i wreszcie w mit.

Tym, którzy wyruszyli na północ, nie było łatwo. Zmarła ich ponad połowa, część w czasie trudnej przeprawy przez arktyczne morze ku kraterowi na lądzie, ale większość została zabita podczas największego nasilenia sztormu szalejącego dwadzieścia jeden dni; jego skutki były gorsze, niż przewidywali najbardziej pesymistyczni uczeni. Może wyszło to na dobre, bo utracono również więcej niż połowę zasobów ziarna i żywności.

Wiedząc, że morza wyleją, przenieśli w góry to, czego nie mogli zabrać ze sobą. A bydło, nasiona oraz inne, absolutnie niezbędne rzeczy płynęły łodziami razem z zapasem żywności na rok, kiedy się przedzierali ku lodom północy. Tam rozebrali łodzie, przerobili je na sanie i większość dotarła do krateru. Jego wnętrze było dogodnie podzielone jaskiniami, nomadowie się obmurowali i czekali.

Ale jaskinie położone zbyt blisko dna krateru — włączywszy te, w których trzymali bydło — wypełniły się wrzącą wodą, gdy sztorm osiągnął siłę najwyższą. Wyruszyli na wędrowkę w dwaście setek ludzi mając osiemset sztuk bydła. Kiedy wygrzebali się z jaskiń po opadnięciu wód, było ich pięciuset, dwa koguty i kura.

Bez zwierząt pociągowych powrót nad morze był znacznie powolniejszy niż wędrowka do krateru, mimo że droga się skróciła o trzecią swą część. Przybili koła do sań i popychali je i ciągnęli

przez grzęzawisko gotowe w każdej chwili zamarznąć. Potem sannie rozebrali, zrobili z nich łodzie i przez ciepłe morza pożeglowali do ziemi nazwanej kiedyś Primus.

Zastali ją zalaną, ale nie zaskoczyło to nikogo. Bardziej przygnębiły ich góry zdarte do czysta, nie było śladu po kryjówkach z towarami, zapiskami i wyposażeniem. Większość rzeczy nie do zastąpienia utracono, w tym bibliotekę ze statku i materiał do klonowania, który mógłby odtworzyć ich trzody.

Lars Martin i współcześni mu nie znali żadnego z tych wydarzeń. Jedynymi pisanymi przekazami z „dawnych czasów” były sonety W. Szexp’ra, z których dwanaście przechodziło z ojca na syna jako tradycja pewnej rodziny, a także rzecz nazywana różnie: „Boska Xięga”, „Xięga Boga”, czy „Boża Xięga”; pisownia zależała bardziej od uznania

40

niż autorytetu. Ten tom napisany w większości jambioznym siedmiozgłoskowcem o kiepskich rymach był mieszaniną zmitologizowanej historii i przewodnikiem moralnym.

Książka Szexp’ra była tą, którą Lars nauczył się na pamięć słowo w słowo, mimo to dołączył jej egzemplarz do swych mało ważących rzeczy. A Xięgę studiował nieustannie. Nie po to, by czerpać moralne zasady, miał własne, dosyć konwencjonalne, którym był w granicach rozsądku wierny.

Fred dalej łagodnie droczył się z Larsem.

— Na przykład ta Xięga, którą zawsze czytasz. Chyba nie sądzisz, że warta jest choćby funta kłaków.

— Bądź poważny, Fred.

— Cały czas jestem. — Otworzył książkę i przerzucił stronicę pisane rytmicznymi wersetami. — Na pół serio. Sądzę, że jest przydatna do straszenia dzieci, żeby się porządnie ustawiały w szeregu. I na nic więcej.



— Fatalna pomyłka. Jedyne, co najbliższego mamy przekazom historycznym, to Xięga. Wszystko inne to plotki powtarzane z ust do ust.

— A ty ciągle tak samo — Fred zatrzaskał okładkę. — Powiem ci, ktoś usiadł i to wszystko po prostu wymyślił. Klecha, jakiś klecha.

W Samueltown nikt nie został księdzem od ponad trzech pokoleń i większość obywateli miasta podzielała lekceważenie Freda dla tego zawodu.

— To nie było tak — zaczął Lars, ale Fred mu przerwał rozprostowaniem dłoni i wybuchem śmiechu. — Daj spokój. Szkoda gadać — powiedział, słusznie zresztą, i odszedł.

Kiwając głową Lars cenne metale Freda wsunął do woreczka z rybiego pęcherza, zawiązał go i przyczepił etykietkę. Odnotował zawartość woreczka w notesie i cisnął go na kupę razem z innymi. Mrużąc oczy spojrzał na nisko wiszące słońce. Jeszcze tylko godzina, potem to wszystko zanieś do ładowni i pójdzie do domu.

Po kilku dniach było już na morzu osiem żaglowców wyposażonych w wiosła na wypadek ciszy. Podzielili wszystko jak najskrupulatniej i na każdym statku było po równo ładunku i ludzi. Ładownie wypełniały przeważnie nasiona i żywność. Będą musieli ją oszczędzać, by wszyscy przetrwali rok albo i dłużej, póki wody nie opadną na tyle, aby obsiać pola, a ryby nie zaczną brać.

Kiedy wiał przychylny wiatr i niosły dobre prądy, mieli czas na swoje spory o Xięgę. Lars, Fred i burmistrz miasta, nazywana od jego nazwy pandą Samuel, odpoczywali w cieniu po godzinnym czyszczeniu ryb. Paskudna to była robota, głównie ze względu na odpadki gromadzone w korycie na rufie, używane potem na przynętę.

Szpecially zły nastrój miała pani Samuel. Była rolniczką i przez trzydzieści lat uprawiała ten sam kawałek ziemi przeżywszy

dwóch mężów. A przez parę miesięcy jej sady i winnice będą pokryte pięćdziesięcioma

41

sążniami wrzącej wody. Gdyby miała znowu orać ziemię, musiałaby od początku zaczynać na gołej skale.

Oparta łokciami o reling wpatrywała się w atramentowe wody!

— Podobno rozmawiałeś z kapłanem.

— Tak, tym z Carroltown. Byłem tam, aby wynotować przypisy z Xięgi.

— Czy on umiał to jakoś wyjaśnić? — Jej głos brzmiał jak warknięcie, choć była bliska łez. — Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego ledwie zaczęliśmy, to tak szybko...

— Miał na wszystko odpowiedź, no nie? — wtrącił Fred. — Tacy jak on zawsze mają.

Lars wzruszył ramionami.

— Wiesz przecież, co o tym myślę.

— Pewno, ale ty jesteś zwariowany na tym punkcie. — Fred oddzierał drzazgę z deski ma pokładzie. — Toteż twoje opinie są warte pół głosu.

— Świetnie, można to rozstrzygnąć przez głosowanie — powiedziała parni Samuel. — „Słońca mają pozostać przyćmione”. Tak czy nie, głosujcie.

— Nie możesz nie uznawać objaśnień kapłanów tylko dlatego, że to oni je dają. Znają takie fałaty...

— A ty się mylisz, jak wszyscy — przerwała pani Samuel. — Nie zaprzeczam, że wiedzą dużo. Owszem, ale prawie wszystko źle.

— Tak byś nie oceniła wiadomości tego kapłana — powiedział Lars. — Robią wielkie wrażenie. Poświęcił życie, całe osiemdziesiąt lat na ich zdobycie.

— Studiował, ale czy coś prawdziwego? — spytał Fred.

— On usłyszał, jak to nazywa, wezwanie.

— Ja tak samo. Kiedy spałem, Bóg do mnie rzekł: „Fred, ty się nie przejmuj i siedź z założonymi rękami. Praca w tej cholernej kuźni to pęcherz na pęcherzu”. To prawda, a nikt mi nie wierzy.

— Ten kapłan i jemu podobni są bezużyteczni — powiedziała pani Samuel. — Tak jak pasożyty przyssane do ryby. Biorą, a nie dają.

— Ja też taki jestem? — zapytał Lars.

— Nie. Ty ciężko pracujesz, wiem. Miałam kiedyś w domu szóstkę dzieci, wszystkie jednocześnie. Jak sobie radzisz z sześcioma dziesiątkami, przekracza moje pojęcie.

— Rozbudzam w nich chęć do nauki. Siedzą wtedy cicho, uważają, przynajmniej większość.

— To jest w naturze dzieci — powiedział Fred. — Chęć zaspokojenia ciekawości. Dorośli z tego przeważnie wyrastają. Twój umiłowany kapłan to dzieciak z długą brodą.

— Może i tak, w pewnym sensie. Lecz spotkanie z nim jest... najważniejszą sprawą mego życia. To przez niego zacząłem rozmyślać o Xiędze.

Fred się zaśmiał.

— Trzeba było przedtem pojmać go i utopić.

— Czy powiedział coś znaczącego? — zapytała pani Samuel.

— Pokazał — Lars się pochylił i skupił. — Nigdy wam o tym nie mówiłem?

— Mnie mówiłeś — powiedział Fred.

Pani Samuel ścisnęła go wzrokiem.

— Czyżby?

— Jak Lars skończy, to mnie obudź — powiedział Fred.

— Nie pokazał mi tego osobiście — zaczął Lars. — Był za stary na podróżowanie. Ale nakreślił mapę i dał mi przewodnika.

— Dokąd szliście? — zapytała pani Samuel.

— Jakieś miejsce, spory kawałek na południe od Carroltown. Pewna jaskinia w garach. Jak dokładnie znasz czwarty rozdział pierwszego Testamentu?

— Niezbyt dokładnie. Tam jest coś o pierwszej Pożodze?

— Właśnie — przyznał Lars ignorując chrapanie Freda. — Opowiada o tym, jak pewna grupa usiłowała uciec przed Pożogą wróciwszy na statek, który ich tu przywiózł. Wzniesli go w niebo, ale runął i wszystkich zabił.

— Pamiętam — powiedziała pani Samuel.

— Właśnie. Xięga mówi; że było ich pięćdziesięciu jeden i podaje jeszcze, że kapitan nazywał się Chu. — Lars się podniósł. — Pokażę ci, pozwól, przyniosę...

Machnęła ręką, by usiadł.

— Mów, mów, wierzę ci na słowo.

— Statki na niobie — wymamrotał Fred.

— W tej jaskini były słowa wyrzeżane w skale. Trudne do odczytania, tak stare, że lity kamień się kruszył, choć nie dostawał się tam ani wiatr, ani woda. Pismo było bardzo dziwne, nigdy nie widziałem takich liter.

Napis był taki: „Ku uczczeniu pamięci pierwszych ofiar nowej” — nie rozumiem tych słów, to na pewno coś o Pożodze — a poniżej pięćdziesiąt jeden nazwisk. Pierwsze brzmiało Chu.

— Żaden dowód. — Fred otworzył jedno oko. — To może być stare, pewno. Ale skoro napis wykuli ci sami kapłani, którzy sfabrykowali Xięgę, wszystko jest nadal bajeczką dla dzieci.

— Ależ, Fred... nawet ty sam musisz przyznać, że istnieje co najmniej skromna możliwość, że napis jest autentyczny i upamiętnia fakt, który się wtedy wydarzył.

Fred uśmiechnął się do niego i zamknął oczy.

— Statki na niebie.

— .... a przecież, jeśli ta część Xięgi mówi prawdę, inne może również są prawdziwe. Tak, na pewno mówią o wydarzeniach prawdziwych.

— Jak to o przybyciu z innego świata? — zapytała pani Samuel.

— O spędzeniu dwudziestu ośmiu lat w statku lecącym w powietrzu.

— Po niebie, nie „w powietrzu”. Xięga mówi, że tam nie było powietrza.

— To niczego nie wyjaśnia — powiedziała pani Samuel.

— Zgoda, przypuśćmy, że akurat ten fragment nie jest całkowicie prawdziwy — przyznał Lars. — Może kopista się pomylił, już dawno, przed stuleciami?

— To twoje pierwsze rozsądne słowa\* od kilku minut — powiedział Fred ziewając.

— Fred, jednakże... Nawet ty, ty sam mógłbyś dojść do tego, że tam nie było powietrza.

— Nie mógłbym — odparł Fred. — Nie zdołałbym.

— Im wyżej wchodzisz na górę, tym trudniej się oddycha. Więc jest chyba logiczne, że na pewnej wysokości już wcale nie ma powietrza.

— Przecież... — zaczął Fred.

— Przecież oni byli tak wysoko, że schodzenie w dół zajęło im dwadzieścia osiem lat.

— Ale skoro tam nie ma powietrza... to co jest, no co?

Lars wzruszył ramionami.

— Niebo. Po prostu niebo.

— Nie zapomnij o gwiazdach — powiedział Fred. — Wszystkie będą naokoło ciebie niby robaczki świętojańskie.

— Powiedzmy. A jeśli gwiazdy są zbyt daleko i nigdy byś do nich się nie zbliżył?

— Może tak, może nie. Może to ty powinienesz spróbować... Wzniósłbyś się tak wysoko w to rzadkie powietrze, że od razu by ci się w głowie rozjaśniło.

— Niektórzy z nas są trochę zmartwieni, Lars — powiedziała pani Samuel. — Masę czasu poświęcasz na studiowanie całej tej Xięgi. Wszystkie te wykresy i zarysy i co tam jeszcze.

— Pracę swoją wykonuję.

— Wiem. Ale to wygląda na niewybaczalne marnowanie czasu i talentu. — Lars udoskonalił pompę wodną i między innymi wynalazł olejowy kardan do kompasu. — Do odbudowy będziemy potrzebowali całej twojej pomysłowości.

— Wykonam swoją pracę. — Wsparł się o reling. — Czyż nie widzicie, że skazujemy samych siebie i wszystkie następne pokolenia na... że my gwarantujemy, że życie nigdy nie będzie inne. Tak będzie, póki się nie znajdą ludzie skłonni marnować swój czas i talent na dociekanie przyczyn, dlaczego rzeczy się dzieją.

— Dzieją się — powiedział Fred. — I tyle.

Czasem zbyt ostro oko z n'eba ls'ni,

I często jego złota twarz się c'mi,

I każdy przychodzący z daleka z czasem odchodzi.

44

Dwudziesta Czwarta Pożoga nie srożyła się bardziej ani też mniej niż dwadzieścia trzy poprzednie. Ludzie lepiej się zabezpieczali niż przed pierwszymi i spośród sprawnych ludzi rzadko już tracono jednego na pięciu, wśród dzieci i starców jednakie śmierć zbierała obfitsze żniwo.

Świat się przygotowywał tak samo jak od milionów lat. Zanim nowej przybędzie blasku, ryby popłyną w głęboką, chłodną

wodę, by zapaść w odrętwienie. Owady się otoczą srebrnym oprzędem, a nasiona sezonowych roślin założą na siebie ochronną szatę z twardego włókna.

I w określonym czasie, w ciągu jednego dnia, jasność słońca wzrosła stokrotnie rozpalając od bieguna aż do bieguna powszechny pożar lasów, który zszedł na świat o brzasku. A kiedy płomienie zgasły, morze zaczęło parować, potem wrzeć. Ze świata pozostały popioły, które porozrzucił gwałtowny wiatr z przegrzanej pary i ozonu. Morze się podniosło i zalało wrzącą wodą jałowe równiny. A kiedy nowa zbladła, zaczęły padać deszcze.

W niepewnym schronieniu jaskiń mężczyźni i kobiety kulili się wokół drżących płomyków lampek, niezdolni zasnąć czy choćby mówić z powodu niesamowitego wycia wiatru na zewnątrz, tego wiatru, który ciskał potężnymi skałami, jakby to były kuliki gradu, wiatru, który oddzierał kości od ciała i przerzucał je na drugą połowę świata.

Pierwszy deszcz padał wrzący i zaraz wracał do nieba. Planeta, która przedtem wyglądała tak zielono i błękitnie, świeciła teraz jednostajną złowrogą bielą. Wkrótce część wody ustąpiła z powietrza, a wichur obejmujący całą planetę złagodniał do siły zaledwie huraganu. Padało długo i rzęsiście.

Kiedy wyszli ze swoich dziur, deszcz był tylko ciepłą mżawką. Do czasu, kiedy ich tabory nie zostały pozbijane, ciemnoniebieskie niebo już parę razy pokazało się pomiędzy chmurami, a słońca kilkakrotnie zalśniły tocząc się w ciągu dnia przez horyzont. Błota obsychały i ludzie opuścili polarny krater w dniu, kiedy spadł pierwszy śnieg.

Powracali na wyspy, które kiedyś były wzgórzami otaczającymi Samueltown. Utracili tylko sto siedemdziesiąt osób, połowa z nich przeżywszy katastrofę tajemniczo zaginęła wraz z łodzią.

Lars trafił na wzgórze, na którym głęboko zakopał skrzynię pełną książek i innych cennych rzeczy. Zazaczył to miejsce długim łańcuchem przymocowanym do jednego z uchwytów. Inni tej kryjówki nigdy nie odkryli.

Na zbocze wzgórza nagarnęli kompostu, zasadzili ryż i zasiali jęczmień, a następnie płynąc łodzią od jednego do drugiego wzgórza czynili to samo, czekając, aż z pól ustąpi płytką wodą.

Minie piętnaście lat, zanim przyjdą pierwsze bogate żniwa.

Pani Samuel i Lars przez lata pozostawali przyjaciółmi, krótko nawet byli kochankami, ale wyszło to jakoś niezręcznie. Fred stawał się coraz

45

bardziej zawzięty w swoich atakach, Lars jednakże umacniał się wewnętrznie w przekonaniu, że prawdy Xięgi są dosłowne, tyle że zawoalowane. Większość obywateli Samueltown traktowała Larsa jako człowieka wartościowego, mimo że nieco stukniętego, ale Fred stał się przywódcą głośnej mniejszości, która pozabierała dzieci ze szkoły, by ich tam nie uczono kłamstw. Reszta mieszkańców miasta obserwowała ten konflikt z rozbawieniem. Opowieści Larsa były fantastyczne, jednak przyciągały uwagę dzieci i dawały im coś, o czym mogły sobie paplać. Życie było wystarczająco smutne, dlaczego pozbawiać dzieci tej małej iskierki cudowności — choćby głupiej?

Lars właśnie skończył oceniać tabliczki z rachunkami i wypisywał na desce imiona dzieci od najlepszego do najgorszego. Może mały Johnny popracuje jutro porządniej, by jego imię usunąć z ostatniego miejsca. Odwrócił się na dźwięk uprzejmego kaszlnięcia.

W progu nieśmiało stał obcy, na jego widok Lars o mało co nie upuścił tabliczki. Od lat nie oglądał człowieka, którego by nie znał całe życie.



— Hm... Słucham.

— To ty jesteś nosicielem książek w tym mieście. — Po-  
dwójnie obcym czyniły go blond włosy. Była to cecha tak rzadka  
w kodzie genetycznym Samueltown, że w pokoleniu Larsa nie  
urodził się ani jeden jasnowłosy.

— Tak, ja nim jestem — odpowiedział Lars.

— Ja też nim jestem — przyznał obcy. — W moim wła-  
snym mieście, oczywiście. We Frederik, to stąd na południe i na  
wschód.

Lars słyszał o tej miejscowości.

— Wejdz. Siadaj. — Obcy podszedł do ławek, w których  
siadywały większe dzieci. — Wędrujesz?

— Przede wszystkim przepisuję. W ostatniej Pożodze utra-  
ciliśmy zbyt wiele książek.

— Wszyscy straciliśmy. Masz czym zapłacić?

Obcy potrząsnął głową.

— Nie. Ale mogę wymienić... jeżeli cię zainteresuje któraś  
z moich trzydziestu paru książek. — Otworzył torbę z surowej  
skóry i Lars zaczął w niej szperać, a on przeglądał skromny księ-  
gozbiór Samueltown. Lars zdecydował się na „Szycie” i „Budowę  
młynów” w zamian za prawo do przepisywania „Metalurgii” oraz  
„Obliczeń”.

Obcy, który miał na imię Brian, pozostał z Larsem przez  
miesiąc i przepisywał... Stali się dobrymi przyjaciółmi. Jadali  
wspólnie u pani Samuel w kompanii innych samotnych osób.  
Dyskutowali aż do późna przesiadując przy kominku ze szkla-  
neczką słodkiego wina. A kiedy Larsa wzywano do pomocy przy  
ćwiartowaniu szczególnie okazałej ryby, Brian przejmował szkołę  
na cały dzień ucząc dzieci wierszyków i piosenek.

Po miesiącu jednakże musiał iść dalej, do innego miasta. Po-  
prosił Larsa, aby go odprowadził do rzeki. O tej godzinie poranka

nie było nad brzegiem nikogo. Łodzie rybackie o świcie wypłynęły na morze. Był

chłodny, wietrzny dzień, młody las po drugiej stronie rzeki grał słodko, kiedy wiatr przedzierał się pomiędzy łodygami drzewek podobnych do bambusa i jak on pustymi wewnątrz.

Był to przyjemny początek podróży i wymarzona sceneria na pożegnanie. Ale Brian umieściwszy swoje rzeczy na tratwie, poruszanej za pomocą liny i bloczka, wszedł na nią w milczeniu, jakby zamierzał odejść bez słowa, bez podania ręki.

Odwrócił się nagle do Larsa wyglądając o wiele smutniej, niż sytuacja powinna wymagać, i rzekł szorstko.

— Lars, teraz usłyszysz to, czego nie powiedziałem nikomu i już nie powtórzę. Nie wolno ci zadawać pytań i nie wolno wyjawiać niczego komukolwiek.

— A co ty...

Lecz Brian podjął szybko.

— Prawdą jest wszystko o Xiędze, w co wierzysz. Bardzo dobrze o tym wiem, bo ja... nie urodziłem się tu, na tym świecie. Jestem obserwatorem, już ostatnim z wielu z planety Urth. Ona nie jest mitem, ale światem tam, na niebie. Światem, z którego wszyscy ludzie przybyli.

— Ty naprawdę...

— Nikomu nie możesz o tej prawdzie powiedzieć, z takiego samego jak i mój powodu. To wzniciłoby fałszywe nadzieje. Odkryliśmy wasz świat około pięćdziesięciu lat temu i od razu zaczęliśmy przygotowania, by zabrać wasz lud z tego... wrogiego świata na Urth, czy — jeśli byście woleli — na inny do niego podobny, ale bardziej przyjazny.

Możemy zbudować flotyllę statków latających po niebie, które pomieszczą wszystkich — już się ją buduje. Ale takie dzieło wymaga czasu. Wielu pokoleń.

Lars stał zamyślony.

— Zdaje się, że zrozumiałem.

— Zanim nadejdzie ratunek, mogą wybuchnąć jeszcze dwie Pożogi. Lars, ty znasz ludzką naturę.

— A wtedy... — Lars pokiwał głową. — Może nie przywitiliby was jako wybawicieli. Pamięć blednie... Patrzyliby na was, jakbyście nie przynosili wolności, lecz ją zabierali.

— Właśnie.

Patrzyli na siebie długo.

— Jedyne, czego chcesz ode mnie — powiedział Lars powoli — to żebym przestał nauczać prawdy. I to teraz, kiedy wiem na pewno, że to prawda.

— Obawiam się, że tak. W imię przyszłych pokoleń.

Brian czekał cierpliwie, kiedy Lars walczył ze sobą.

— Dobrze — powiedział Lars przez zaciśnięte zęby. —  
Przyrzekam.

— Wiem, że dotrzymasz słowa. Żegnaj, Lars.

— Żegnaj. — Lars szybko się odwrócił, by oszczędzić młodemu czło

wiekowi widoku łez starca, i stąpając ciężko zaczął schodzić ścieżką w dół z powrotem do szkoły.

— Dzisiaj, uczniowie, będziemy się uczyć dzielenia, używania przecinków, garncarstwa. I kłamstw.

Brian patrzył za starcem, który odchodził, a potem przeprawił się na drugi brzeg. Tam ruszył ścieżką w kierunku Carroltown i nie był wcale zdziwiony natknąwszy się na pewnego człowieka, który na niego czekał ea pierwszym zakrętem.

— Cześć, Fred. — Zagadnięty podniósł się otrzepując spodnie.

— Jak poszło?

— Uwierzył, słowo w słowo. Już ci nie sprawi kłopotu.

Fred wręczył mu mały worek złota. Brian ważył go chwilę na dłoni i wrzucił do torby nie licząc.

— Polubiłem starego — powiedział. — Czuję się podle.

— To było konieczne.

— Ale okrutne.

— W każdej chwili możesz oddać złoto.

— Pewnie, że mogę. — Zrzucił torbę i zaczął iść na południe do miasta, w którym się urodził.

Przełożyła Emma Popik

## SPIS TREŚCI

O autorze .....

Trzechsetlecie.....

Czas. aby żyć.....

Prywatna wojna szeregowca Jacoba Pożoga .....

Požoga.....